Nr. 40. Warszawa, dnia 4 Października (22 Września) 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DOJRZEWANIE PRZEŁOMU.

Położenie polityczne w Portugalii przybiera charakter niebezpieczny dla dynastyi panującej. Żywioł republikański wylągł się tam oddawna, ale dopiero pod wpływem tryumfu pokrewnych mu dążeń we Francyi wystąpił do walki otwarcie i śmiało.

Na słaby i wieloma przyczynami potargany stosunek króla do narodu padło brutalnie rzucone przez lorda Salisburego ultimatum Anglii w zatargu o posiadłości w Afryce. Dopóki naród widział tylko gwałt zewnętrzny, nie oskarżał monarchy, który wraz z nim stał się ofiarą cudzej przemocy. Ale obecnie parlament ma potwierdzić układ zawarty z Anglią, występuje więc jako strona przeciw rządowi. Z tego położenia nie omieszkali skorzystać republikanie. Przeniknęli oni swymi wpływami we wszystkie warstwy społeczeństwa, zawładnęli prasą i opinią, stali się panami pola walki tem bardziej, że inne stronnictwa są zdyskredytowane i że żadne z nich nie ma odwagi złożyć ze swoich przedstawicieli gabinetu ministeryalnego, któryby przed parlamentem bronił układu z Anglią. Ponieważ armia bądź przeszła do obozu republikańskiego, bądź podziela oburzenie narodu w sprawie afrykańskiej, tron Karlosa przeto opiera się tylko na siłach policyi w większych miastach.

W prasie europejskiej tu i owdzie rozwinął się język obelgi i potwarzy, ale nawet znając go z najwścieklejszych i najbardziej rozpasanych wybuchów dziennikarstwa francuskiego, niepodobna wyobrazić sobie, jakiem błotem słów obrzucani są codzień przedstawiciele rządu portugalskiego. Słownik Zoli jest pod tym względem bogaty, ale nie dorównywa tym rynsztokom, którymi płynie zniewaga po czasopismach Lizbony lub Oporta.

Rozkiełznane z wszelkich wędzideł języki krzyczą, grożą, lżą, kłamią, w tej samej ślinie rozpuszczają uczucia republikańskie i słowa najbezwstydniejszej potwarzy. Cała ta piekielna wrzawa podnieca najspokojniejszych, a optymistom odbiera wszelką nadzieję zgaszenia ognia. Dodać również należy, że do niego obficie dolewają oliwy francuzi zasiłkami pieniężnymi. Chcą oni przy nim upiec dwie pieczenie: wzmocnić siły republikanów i wytworzyć w sąsiedztwie Rzeczpospolitę a zarazem wyprzeć z Portugalii handel i kapitały angielskie.

Warto wiedzieć, co temu ruchowi rząd przeciwstawić może. Ostatnie ministeryum Serpy Pimentela pozwoliło sobie na eksperyment dotąd nieznany: zmniejszyło tak dalece armię, że np. w Lizbonie dwa pułki liczą po... 50 żołnierzy.

PRZED I PO 1-ym PAŹDZIERNIKA.

II.

Statystyka wyborów daje przybliżone pojęcie o wzmaganiu się demokracyi społecznej przed wprowadzeniem praw wyjątkowych. Padło na nią w 1867 r. przeszło 70, w 1871 około 102, w 1874 już 350 i wreszcie w 1877 aż 493 tysięcy głosów. Nawet sama rozterka pomiędzy lasalistami a eisenachistami wychodzi na dobre; oba bowiem odłamy wyścigają się wzajem w energii. Powstało liczne a ruchliwe dziennikarstwo. Oprócz organów urzędowych, wychodzących w Berlinie i Dreznie, rozwija się drobna prasa prowincyonalna. Takie miejscowości przemysłowe, jak Crimmitschau i Chemnitz, takie ogniska kultury, jak Brunszwik, Moguncya, często nawet mało znane okolice jak Fürth, Gera, Hof — posiadają własny organ, uważnie śledzący wszelkie zdarzenia lokalne i oświetlający je z odpowiedniego stanowiska klasowego. Nadto istnieją specyalne wydawnictwa poświęcone sprawom oddzielnych gałęzi najmickich; zecerzy, robotnicy z fabryk cygar i papierosów, z hut szklanych i porcelany, kapelusznicy, tkacze i in. mają własną prasę zawodową. Bezpośrednio przed r. 1878 partya posiadała około 40 czasopism. Niektóre — ilustrowane *Neue Welt* — liczą 40.000 prenumeratorów. W tej liczbie spotykamy dwie gazetki, uprawiające satyrę polityczną i w karykaturze poddające chłoście wrogów politycznych i społecznych. Kalendarze, wydawane zwykle pod hasłem *biednego Konrada* (z wojen chłopskich) rozchodzą się w 50 tys. egzemplarzy. Czternaście drukarń pracuje nad zaspokojeniem potrzeb stronnictwa. Istnieją szkoły dla kształcenia działaczów partyjnych, a wybierano ich po troskliwym doborze z pośród zdolniejszych a ruchliwszych najmitów. Lasaliści uczyli się na pamięć wszystkich prac zmarłego mistrza, naturalnie z głębokiem wniknięciem w znaczenie każdej myśli; studyowano obowiązujące prawo, zwłaszcza policyjne, wybitniejsze przejścia historyczne z ostatnich czasów. Zdolniejsi słuchali systematycznych kursów filozofii i ekonomii politycznej. Ludzie, którzy pracowali niedawno jako murarze, uczęszczali na wykłady uniwersyteckie, i to nie tyle dla zapożyczenia tutaj wiedzy, ile już w celu zapoznania się z bronią przeciwników społecznych. Dzielni szermierze pióra wychodzą niekiedy z tych ongi prostych najmitów; dość wspomnieć oryginalny historyozoficzny umysł Dietzgena, lub zecera Franza, który zdruzgotał fałsze i mydłkowania naukowe prof. Böhmerta. Partya dawała pensyę (około 60—75 talarów miesięcznie) wyrobionym działaczom i zupełnie rozporządzała nimi. W r. 1877 samych „podróżujących apostołów“ liczono do 150. Przejeżdżali oni z miejsca na miejsce, urządzając wiece i popularyzując zasady partyi, a jednocześnie organizując tłumy.

Lecz nim pójdziemy dalej, warto zapoznać się bliżej z zasadami działalności praktycznej. Wraz z czartyzmem, społeczna demokracya jest najpoważniejszą i najsystematyczniejszą w dziejach próbą zorganizowania „stanu czwartego“ do walki o wyzwolenie, a jednocześnie przedstawia wykończony program dróg i środków, za pomocą których praca zdoła zapanować nad kapitałem, człowiek nad wytworem rąk swoich. Otóż pamiętajmy, że oba te stronnictwa wyrzekają się stanowczo wszelkich eksperymentów „pozytywnych“ zapomocą samopomocy prywatnej i poddają silnej krytyce zapatrywanie, aby jakieś w tym kierunku wysiłki doprowadziły do większego ulżenia nędzy lub były możliwe w szerszych rozmiarach. Natomiast z całej mocy i wyrazistością postawiono zasadę, że rozwiązania kwestyi społecznej wypada szukać na drodze politycznej. Najmici powin-

ni zorganizować się jako samoistna a odrębna od wszelkich innych partya klasowo-polityczna i dążyć do owładnięcia najpotężniejszą maszyną reformacyjną, którą wytworzył nowoczesny rozwój społeczny: centralizacyą państwową. Z tego powodu w programie położono możliwie silny nacisk na rozszerzenie w Niemczech praw politycznych. Między innemi chodzi o wprowadzenie powszechnego, równego a bezpośredniego głosowania tajnego, przysługującego już dwudziestoletnim obywatelom zarówno w zakresie sejmu ogólno-państwowego, jako też landtagów, przedstawicielstw prowincyonalnych gminnych i miejskich. O znaczeniu tego żądania dają pojęcie próby, czynione w niektórych miejscowościach Saksonii przeprowadzenia większości swoich wyznawców do zarządu miejscowego i zamienienia go na taran reformacyjny — zamierzano tutaj powołać do życia lokalne prawo do pracy, zniany przepisów o komornem aż do budowania z kasy miejskiej domów municypalnych, obowiązkowe utrzymanie sierot i opiekę nad chorymi nędzarzami, zabranie w ręce municypalne niektórych przedsiębiorstw np. omnibusów, piekarni i wydzierżawianie je stowarzyszeniom robotniczym itd., a zamiany te są tylko drobnym zarysem pokrewnych dążeń na wielką skalę w sferze zarządu ogólno-państwowego. W dalszym ciągu do powyższego punktu w programie politycznym należy dodać inne: prawo inicyatywy i referendum, rozwiązanie wojsk i zamianę ich na milicyę narodową, bezpłatne nauczanie w niższych i wyższych zakładach naukowych, oddzielenie kościoła od państwa, a tembardziej od szkoły. Jednocześnie ściśle określono postępowanie przedstawicieli partyi w parlamencie, od którego zresztą spodziewano się mało. Mianowicie postanowiono zająć stanowisko krańcowe i jedynie agitatorskie. Wybrani do parlamentu mają działać w interesie klasy najmickiej, lecz w ogóle winni stanąć na gruncie negacyjno-krytycznym, korzystając z każdej, chociażby najmniejszej sposobności, aby wykazywać całą nicość odgrywającej się tutaj komedyi i zdzierać maskę, w której różne odłamy umizgują się do „ludu.“ Uchwalono nie wchodzić w żadne układy z jakąkolwiek partyą polityczną, lecz jednocześnie zgodzono się w razie nieprzeprowadzenia własnego kandydata, przy powtórnym wyborze oddawać głosy na przedstawiciela tego stronnictwa, które pod względem wymagań swobody politycznej stoi najbliżej, mianowicie na demokratów (Volksparteı) lub postępowców. Polityka demokracyi społecznej zwłaszcza względem tych ostatnich zasługuje na bliższą wzmiankę. W okresie praw wyjątkowych polegała ona wprost na kompromitowaniu swoją obecnością zgromadzeń postępowych, które też dzięki temu często bywały rozwiązywane, lecz jednocześnie, skoro przy pierwszym wyborze kandydat społeczno-demokratyczny przepadł, spieszono z głosami na korzyść niedawnego przeciwnika. Mimo że Bismark w okresie swoich reform społecznych „dawał,“ a Wilhelm II obiecuje, mimo że postępowcy zawsze byli przeciw tym planom, głosy społecznej demokracyi dostawały się w przesileniach wyborczych tylko tym ostatnim. Zresztą wyborom do parlamentu przypisywano małą wagę jako środkowi do wprowadzenia swoich przedstawicieli, a większą jako chwili dogodnej do rozwinięcia silnej agitacyi. W ogóle, nawet żądania praktyczne miewały na widoku nie tyle polepszenie bytu ekonomicznego, ile wzbudzenie zainteresowania i świadomości klasowej. Między innemi tutaj należy agitacya w kierunku prawodawstwa fabrycznego, a obecnie dnia ośmiogodzinnego. Reformy te przeprowadzone nie dadzą żadnych większych wyników ekonomicznych w ostatecznym rezultacie, lecz są na razie przywybornemi i ogólnie zrozumiałemi hasłami agitacyjnemi, a nadto pociągają za sobą ważne następstwo kulturalne: dają najmicie czas na wypoczynek, pracę umysłową i udział w sprawach publicznych. Podobnie raczej za agitacyjne, niż pozytywno-ekonomiczne wypada uważać takie żądania, jak obecne co do regulowania płacy. Naturalnie, partya na tem nie poprzestaje i wysuwa od czasu do czasu program pozytywnej reorganizacyi stosunków ekonomicznych, począwszy od drobnych zmian w rodzaju postępowych podatków bezpośrednich, a skończywszy na szerszych planach w rodzaju przyjętych na zjeździe erfurckim 1869 (eisenachisci). Idzie tu o rozpoczęcie kolektywnej uprawy gruntów państwowych, municypalnych i gminnych; początkowo kilka (z powodów terytoryalnych), później jedno olbrzymie stowarzyszenie pracujące prowadziłyby zbiorową produkcyę na własną rękę a korzyść pod kierunkiem państwa i według wskazówek uczonych agronomów. W dalszym ciągu żąda się podobnego upaństwowienia kopalni, kolei, marynarki, przejścia zaś na własność miejską tramwajów, gazu, omnibusów itd. oraz oddawania tych przedsiębiorstw odpowiedniej grupie najmickiej ogólno-krajowej lub miejskiej jako stowarzyszeniu współdzielczemu — pod kontrolą władz państwowych. Te gałęzie przemysłu winny służyć jako ośrodki zorganizowania produkcyi całego kraju w jedno olbrzymie stowarzyszenie spożywczo-wytwórcze.

Lecz to tylko jedna strona działalności. Należy pamiętać, że istnienie wszelkiej partyi politycznej jest nadzwyczaj niepewne i chwiejne. Dzisiaj jest silna, jutro może być zdruzgotana. Z tego powodu społeczna demokracya jakkolwiek widzi główne swoje zadanie w polityce, jednakże nie wyłącza i nie odrzuca od siebie innych celów. Streszczają się one w organizowaniu najmitów w związki zawodowe na wzór angielskich *trade-unionów*. Są to *Gewerkschafty i Fachvereiny*. Lecz kiedy trade-unionizm angielski w związkach tych widzi główne narzędzie polepszenia bytu, ruch niemiecki patrzy na nie przeważnie jako na arenę do ćwiczeń klasowej solidarności i świadomości. Jest to przedewszystkiem szkółka pedagogiczna, w której najmici zaprawiają się do samorządu, rozstrzygania swoich spraw i odrębności klasowej. Akcya polityczna dąży do zdobycia stanowiska, z którego możnaby podjąć reformy społeczne, tymczasem organizacya zawodowa ćwiczy ludzi praktyki, których zapotrzebuje życie po dokonanej zmianie, oraz wyrabia gotowe już kadry przyszłej zrzeszonej produkcyi. Tegoroczny wiosenny zjazd związków zawodowych szwajcarskich w Olten daje przybliżony zarys tego, co demokracya społeczna spodziewała się w blizkiej przyszłości dopiąć za pomocą gewerkschaftów, a co prawdopodobnie nastanie wkrótce w Szwajcaryi. Mianowicie uchwalono tutaj zorganizować cały lud najmicki w związki zawodowe drogą przymusu państwowego *). Zawodowcy w danej miejscowości, sami, jeśli są dostatecznie liczni, w spółce zaś z fachem pokrewnym, jeśli są w nieznacznej liczbie, stanowią najniższe ogniwa organizacyi zawodowej; związki lokalne jednozawodowe tworzą związek ogólno-krajowy z radą zarządzającą, która wychodzi z wyborów, dokonywanych przez grupy niższego rzędu. Ogół związków krajowo-zawodowych, ogarniający wszystkich najmitów kraju, stanowi najwyższe ogniwo organizacyjne z odpowiednim zarządem, posiadającym prawo wysłania jednego członka do rady federacyjnej szwajcarskiej z głosem doradczym w kwestyach ekonomicznych. Organizacya krajowo-związkowa ma być jednocześnie organizacyą obowiązkowego ubezpieczenia na sta-

*) W istocie idzie tutaj o obowiązkowe rozszerzenie istniejącej, a potężnej lubo mało spójnej organizacyi zawodowej na kraj cały i nadanie jej praw politycznych.

BEZPŁATNE BILETY

NOWELA.

(Dokończenie).

Wiedziałem, że narzeczona moja z dobrej pochodziła rodziny, nie przeczuwałem jednak, aby rodzina ta była tak liczną.

Narzeczona moja bilety zapisywała do książki, a nie było wypadku, żeby wszystkie na kilka dni przedtem już nie były pozamawiane.

O moich znajomych naturalnie nie było już mowy. O nich zapomniano całkowicie.

To też ukłony moich „przyjaciół“ coraz stawały się chłodniejsze.

Nauczycielka języków naprożno usiłowała zbliżyć się do nowej bogini.

Odwiedziła ona raz moją narzeczoną w towarzystwie posłańca, obładowanego kompletnym serwisem porcelanowym do mycia.

— Przyda się to pani na nowem gospodarstwie — rzekła z dobrodusznym uśmiechem.

Narzeczona moja podziękowała zimno. Widziałem, że ją to gniewało, bardzo gniewało. Jak tylko nauczycielka odeszła, natychmiast zawołała innego posłańca i kazała mu odnieść serwis w mojem imieniu. Mówiła, że to najzuchwalszy beztakt, na jaki kiedykolwiek była narażoną.

Udała się potem do mojego pokoju i sprawiła sobie ulgę tem, że potłukła wszystkie porcelanowe podarki od nauczycielki.

Po przejściu tej burzy spokój znów zapanował na pewien czas.

Z biletami moimi nie miałem innego kłopotu, prócz tego, że ciągle musiałem chodzić je odbierać do najodleglejszych punktów miasta. Poczciwe bowiem ciotki i kuzynki z wielką sumiennością zabierały bilety, ale o odniesieniu nie myślały nigdy, a skutkiem tego byliśmy w bezustannem niebezpieczeństwie obrażenia innych ciotek i kuzynek przez niedostarczenie biletów na czas. Kiedy pewnego dnia wszedłem do salonu, zastałem narzeczoną moją w stanie godnym pożałowania. Malowana twarz jej przemokła była od łez i wyglądała jak pole śniegiem pokryte w czasie odwilży.

Podczas nieobecności mej bryftregier oddał był cztery liściki różowe o podejrzanym wyglądzie i nieortograficznych adresach. Miałem czyste sumienie i pozwoliłem, że przeczytała wszystkie.

Były to zapytania od kilku młodych przyjaciółek moich, czy czas biletów gratisowych minął bezpowrotnie.

Narzeczona moja zmusiła mnie do zwrócenia wszystkich owych liścików tym, które je napisały.

Usłuchałem i od tej chwili raj pracowni krawieckich i dystrybucyj na wieki został przede mną zamknięty.

A gdy później przypadkiem spotkałem na ulicy którąkolwiek z tych panien, udawała, że mnie nie widzi wcale.

* *
*

W jednem z miast prowincyonalnych miałem ciotkę bardzo bogatą, która chciała mnie uczynić swoim spadkobiercą. Ciotka ta napisała raz do mnie, że na przyszłą niedzielę przybywa do stolicy, żeby zobaczyć nową sztukę, o której tyle piszą w gazetach. „Bóg widzi — nadmieniła w liście — że nie jestem skąpą i że stać mnie na zapłacenie miejsca w teatrze. Ale duma każe mi wybrać się razem z ulubieńcem moim i siedzieć na bezpłatnem jego miejscu, korzystać z biletów gratisowych, do których doszedł dzięki talentowi i pracy.“

Otrzymałem list w niedzielę przed południem i niezwłocznie poszedłem do narzeczonej po bilety do teatru, w którym dawano ową sztukę.

rości państwowej pomocy w chorobie, sądów polubownych pomiędzy kapitałem a pracą, walki klasowej za pomocą bezroboci itd. Dodajmy do tego, że może ona stać się organizacyą, której części poprowadzą zrzeszony wyzysk współdzielny upaństwowionych kolei żelaznych, kopalni, dóbr koronnych, a będziemy mieli w przybliżeniu obraz tego, co demokracya społeczna zamierzała osiągnąć drogą zawodowego zorganizowania a czego nie wyrzekła się i dzisiaj. Na zarzuty, że tą drogą idąc uwikła się w tradeunionizm angielski z jego ciasnymi widnokręgami, właściwymi „zdrowemu rozsądkowi,“ słusznie odpowiada, że organizacya angielska pokutuje skuta w tradycye swego rodowodu i warunków historycznych, z których prędzej czy później się otrząśnie, gewerkschafty zaś są powołane do życia przez silną partyę klasowo-polityczną i prowadzone już od początku przez nią i tem samem pozbawione pęt tradycyjnych, z których angielskie związki wyzwalają się z taką trudnością. Zresztą wzięto się do zakładania gewerkschaftów jeszcze z celem agitacyjnym. Powstające związki ukują bowiem najstraszniejszą broń przeciw kapitałowi: statystykę wyzysku z karnością tłumów oraz poprowadzą wojnę bezrobotną. Oto co mówił *Volksstaat*: „Wielką jest liczba tych umysłów, które patrzą na prąd zawodowy jako na małoważny dodatek akcyi politycznej, lecz głosy te z konieczności umilkną pod wymownością doniosłych faktów. Nie potrzeba dowodzenia, że każdy, kto chce dojść do wyników praktycznych, musi liczyć się z wszystkiemi okolicznościami i stanami... U większości najmitów nie spotykamy najmniejszego zmysłu politycznego; sprawy sejmowe i prawodawcze, kwestye celne, podatkowe, krajowe, rzecz pospolita lub monarchie — wszystko to jest dla nich obojętnem. Tymczasem bardzo łatwo dają się wciągnąć w rozprawy o podwyższeniu zarobków, krótkim czasie roboczym, pomocy w chorobie lub podróży. Ten zmysł czysto praktyczny należy wyzyskać... Służąca do tego organizacya zawodowa jest naturalnym a historycznym środkiem, aby pracę zwolna uczynić władczynią społeczną.“

W ten sposób, o ile chodzi o rozpatrywany przeciąg czasu, polityka partyi była krytyczno-negacyjną. Wie ona, że w danych warunkach winna długo czekać na możliwość pozytywnej reorganizacyi społecznej, — do póty, póki nie zdobędzie tyle sił, aby zdruzgotać inne i zostać jedyną potęgą na arenie politycznej. Nie spieszy się też z rozprawami w tej mierze, rzucając tylko od czasu do czasu zarysy reformy, a natomiast stawiając na dzisiaj żądania natury agitacyjnej i poddając ostrej krytyce pozytywną politykę społeczną klas posiadających. Zresztą o tem później. Z drugiej strony stwarza ona organizacyę zawodową. Jest to najpozytywniejsza część jej działalności, nie ze względu naturalnie na wpływy praktyczno-ekonomiczne polepszenia bytu, lecz pedagogiczno - kulturne. Wzmaganie antagonizmów i świadomości klasowej jest obecnie celem jedynym i najważniejszym. Jest to tworzenie własnej armii, a do tego służy i działalność polityczna i organizacyjno-zawodowa. Zresztą wypada zauważyć, że lasaliści mało rozumieli znaczenie organizacyi zawodowej, i do ruchu wnieśli ją wykształceni na wzorach zagranicznych eisenachiści. Warto byłoby dać statystykę związków zawodowych, lecz nie mamy pod ręką wystarczającego materyału. Jednakże zatrzymamy się chociaż nad tą garstką cyfr, którą rozporządzamy, a która obejmuje lata 1871—1873. Na zjeździe erfurckim zjawiali się przedstawiciele eisenachskich związków zawodowych 43 gewerkschaftów, 21 fachvereinów i 5 wolnych połączeń — razem od 20 z górą tysięcy ludzi. Lasaliści w tym czasie posiadali liczniejszą organizacyę. Związek modelarzy składał się z 33 grup lokalnych, mularzy liczył 44 tysięcy osób. Są jeszcze ogólno-państwowe związki cieślów, koszykarzy, stolarzy. Wreszcie organizacya zawodowa, powołana do życia przez postępowców, liczyła na zjeździe w Berlinie 1873 do 20 tys. ludzi z 278 lokalnymi związkami. Nadto istnieje jeszcze kilka związków, stojących niezależnie od partyj politycznych; np. państwowo-zecerski liczy 8000 członków. Razem więc jest w 1872—1873 w związkach zawodowych przeszło 100 tysięcy najmitów.

K. R. Żywicki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Kiedy się mówi o cesarzu niemieckim, to mówi się przedewszystkiem o jego podróżach. Był on już w Wiedniu, gdzie go przyjęto bardzo uroczyście i wyjechał z monarchą austryackim na polowanie do Styryi. Rzecz dziwna, że w dniu, w którym „dawny kurs“ dzięki jego woli zwrócony został ku innej stronie, w którym kierunek polityki Bismarkowskiej uległ najmocniejszemu odchyleniu, w którym życie wewnętrzne Niemiec Wilhelm II wprowadził na inne tory, w dniu wygaśnięcia praw wyjątkowych przeciw socyalistom znalazł on się po za krajem. Osobny artykuł objaśnia czytelników naszych o rozwoju wypadków, poprzedzających 1 października i prawdopodobnym ich biegu po tej dacie. Więc tylko zaznaczymy, że zniesienie ustawy wyjątkowej, która dosięgła około tysiąca osób, której oprócz Bismarka i jego gwardyi parlamentarnej żadna partya polityczna nie pochwalała — obchodzono w Berlinie i większych miastach wystawnie, ale spokojnie. Co uwolnieni z pod tej rózgi robić będą dalej, zobaczymy, zwłaszcza poznawszy uchwały wielkiego zebrania, które ma się wkrótce odbyć.

W drugim punkcie „dawny kurs“ został również zmieniony: mianowicie zniesiono w praktyce edykt wygnańczy, zabraniający ludności polskiej przybywać na robotę do wschodnich prowincyj pruskich. Ten akt tolerancyi podyktowały interesy ziemian, którzy dotychczas pozbawieni byli taniego robotnika. Mimo to oba odstępstwa od „dawnego kursu“ muszą krwawić serce samotnika z Friedrichsruh.

Wątpliwem jest nawet, czy jego bóle nieco złagodzi zapowiedziana przez gazety dymisya naczelnika sztabu generalnego, hr. Waldersee. Czem on naraził się cesarzowi, który uważał go za swojego przyjaciela i wielce oddanego — nie wiadomo.

Po pamiętnej chorobie króla holenderskiego Wilhelma, ogłoszonego prawie umarłym, trzeba ostrożnie przyjmować obecne wiadomości o jego stanie jakoby beznadziejnym. Wprawdzie lekarze trzymają prognozę w tajemnicy, ale półsłówkami dają do zrozumienia, że król żegna się już z tym światem.

Paryski *Figaro* ogłosił rozmowę swego korespondenta z Crispim, w której minister włoski wylał potok serdeczności dla Francyi. Zapewnił, że ją kocha, szanuje, wielbi, nigdy ani zaczepką, ani knowaniami nie skrzywdzi, tylko obawiając się jej, w obronie własnego kraju trzyma karabin w pogotowiu. W stronę Bismarka posłał on przytem kilka aforyzmów, które dawniej pokaleczyłyby mu usta. Niektóre gazety zaprzeczyły wiarogodności tych wynurzeń, ale *Figaro* obstaje przy nich. Nie zaszkodzi jednak pamiętać, że bezecny ten dziennik umie opowiedzieć, jak uwiedziona kobieta oblała kwasem siarczanym Cherbulieza, a potem ze śmiechem wyznać, że zmyślił wypadek dla przekonania się, ile sympatyi objawiłby Paryż w podobnem nieszczęściu znakomitemu powieściopisarzowi. Może więc i tym razem chodziło mu o „próbę.“

— Bilety te ma generałowa i jej córka— odrzekła z całym spokojem. Zabrały je dziś rano. Przyrzekłam im przed tygodniem jeszcze.

— Ale wiedziałaś moja droga, że ja sam wybierałem się do teatru, ponieważ muszę napisać recenzyę o nowej sztuce.

— O tem nie pomyślałam, doprawdy. Zresztą możesz sobie kupić bilet.

— A ciotka, która cieszyła się od tak dawna, że pójdzie za moimi biletami bezpłatnymi?

— O tem ani mi się śniło, doprawdy. Mogłaby też wcześniej napisać.

— Czy nie mogłabyś posłać grzecznego listu do generałowej, przeprosić i rzecz wyjaśnić?

— Tego tylko brak, żebyśmy odstręczyli od siebie tak zacną panią.

— Ale dla moich krewnych, naturalnie, można żadnego nie mieć względu.

— O, Boże, że też muszę słuchać podobnych wyrazów; wolałabym już nigdy nie mieć tych biletów.

— I ja bym to wolał — odrzekłem i oddaliłem się z całą gwałtownością.

Pospieszyłem do teatru. Wszystkie bilety po podwyższonych cenach były wyprzedane. Przekupnie tylko bezwstydnie dużo żądali za kilka pozostałych na galeryę. Na tem miejscu ani ciotka, ani ja pokazać się nie mogliśmy.

Ciotka przyjechała południowym pociągiem. Oczekiwałem ją na stacyi; była w doskonałym humorze.

Kiedy dostaliśmy pokój w hotelu, opowiedziałem jej z jaknajwiększą ostrożnością, co zaszło z biletami.

Stało się, czegom się spodziewał. Wpadła w gniew nie do opisania. Chciała wrócić wieczornym pociągiem, kazała mi się nigdy nie pokazywać jej na oczy, nie przestępować jej progu itd. itd.

Nie usiłowałem nawet usprawiedliwiać się. Niepodobna obronić się rozzłoszczonej kobiecie. W milczeniu przeto wziąłem kapelusz i wyszedłem.

Jak się później dowiedziałem, wyjechała natychmiast i następnego dnia sporządziła testament na korzyść ubogiej, wzgardzonej przedtem siostrzenicy.

Włóczyłem się przez całe poobiedzie i w kilku restauracyach piłem jedną butelkę piwa po drugiej — ale sam jeden.

Nie próbowałem nawet wystarać się o bilet w celu spełnienia obowiązku recenzenta. Nie byłem usposobiony ani do siedzenia w teatrze, ani do pisania recenzyi.

Kiedy wróciłem do domu, zastałem kolacyę u siebie w pokoju. Pani i panny podobno nie było w domu.

Nazajutrz generałowa z podziękowaniem zwróciła bilety. Nie mogła, niestety, sama z nich korzystać, ponieważ otrzymała zaproszenie na obiad, ale w zastępstwie posłała obie sługi, które bawiły się wyśmienicie.

Około południa dostałem list od redaktora mojej gazety. Z przekąsem wyraził żal, że nie napisałem do porannego numeru o wczorajszem przedstawieniu. Autor miał już być w redakcyi i wyrzucać mu chęć szkodzenia jego pracy, a dyrektor teatru i aktorzy wrzeć z oburzenia. On jednak doskonale tłomaczy sobie moje milczenie, gdyż, jak słyszał z dobrego źródła, posłałem do krzeseł dla recenzentów dwie służące, które naturalnie sprawozdań pisać nie umieją. Uważa wszelako za konieczne poszukać sobie nowego i pewniejszego współpracownika.

Wszedłem do mojej narzeczonej i w milczeniu pokazałem jej list.

Przeczytała go, pałając z gniewu.

— Moją naturalnie jest winą, żeś stracił posadę.

— Skoro sama tak powiadasz, to pewno prawda...

— Z mojego powodu chyba nie stracisz już nic.

Szwajcarya, pomimo wysłania na miejsce komisarza Rady Związkowej, nie doszła jeszcze do ładu z zatargiem w kantonie tessyńskim. Klerykałowie domagają się zwrotu władzy, którą im wydarto, liberalni nie chcą przyjąć ich jarzma — i tak spór kręci się na miejscu.

Pod powozem, w którym jechał młody król serbski z ojcem, pękł jakiś nabój. Według jednych doniesień miał to być przypadek, według innych — zamach. Zajście to wszakże musi mieć charakter podejrzany, skoro Milan zamieszkał z synem w obozie pod Niszem.

Bill Kinleya, opasujący Stany Zjednoczone murem ceł ochronnych przeciw towarom europejskim, został już przyjęty i zaczął wywierać swoje niszczące skutki w produkcyi europejskiej. Pomowimy o nim szczegółowiej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z AUSTRYI.

Nowy okres sprawy ugody czesko-niemieckiej. — Co minister wojny odkrył w Galicyi. — Jubileusz Strossmajera. — Trzy kongresy wiedeńskie: wiec przemysłowców, kongres chłopów i kongres rolniczo leśny. — Projekt powszechnego związku włościańskiego i europejska liga celna.

Podróż Riegera do Wiednia w sprawie ugody czesko-niemieckiej snać nie była tak bezowocną, jak przypuszczano pierwotnie. Owszem, praca w tym kierunku postępuje. Rieger przedstawił hr. Taaffemu memoryał klubu posłów staro-czeskich, żądający pewnych „ubezpieczeń,“ którby umożliwiły im dotrzymanie danego słowa, a między innemi wprowadzenia czeskiego języka urzędowego. Jak twierdzi Rieger, rząd skłania się do uznania języka czeskiego w rozprawach sądowych, wymaga natomiast, aby sądy między sobą i z innemi władzami państwowemi porozumiewały się w języku niemieckim. Tylko co do czasu zachodzi różnica: gdy bowiem czesi pragną, aby rząd spełnił swe przyrzeczenie, zanim sejm podejmie na nowo obrady, hr. Taaffe twierdząc, iż podczas pertraktacyj ugodowych nie może zawierać osobnych jednostronnych układów, zapewnia, iż spełni obietnice po dokonaniu ugody drogą rozporządzenia. Wobec tak korzystnego, bądź co bądź, stanu rzeczy, wielce nie na rękę czechom była burza, która zerwała się w prasie niemiecko-austryackiej przeciw wszystkiemu, co słowiańskie, z następującego powodu. Ministeryum wojny przekonało się przy egzaminach wstępnych do szkół wojskowych w Galicyi, że młodzież tamtejsza mało jest obeznaną z dziejami państwa i dynastyi Habsburgów. Wskutek tego minister wyznań i oświecenia przesłał galicyjskiej radzie szkolnej napomnienie w formie rozporządzenia, aby baczniejszą zwracała uwagę na naukę tych przedmiotów. Ah! — woła prasa austryacka — a zatem chłopak galicyjski dowiaduje się dopiero w szkole wojskowej o tem, że jest austryakiem? A i czeska młodzież ma być doprowadzona do podobnego separatyzmu?

Drugą sprawą, podniecającą cały *furor teutonicus* gazeciarzów naddunajskich, był czterdziestoletni jubileusz biskupa Strossmajera. Rozmiary demonstracyi, którą na dzień ten przygotowywali słowianie austryaccy, były istotnie imponujące, a gdyby rząd nie był położył stanowczego „veto,“ wielki kapłan-patryota byłby doznał hołdu, który sam w sobie byłby faktem politycznym wielkiej doniosłości. Zwłaszcza w Czechach zwycięzkie stronnictwo młodoczeskie, monopolizujące obecnie wszystkie sprawy polityczne i narodowe, zajęło się urządzeniem uroczystości dla Strossmajera na wielką skalę. Wydano hasło, iż wszystkie gminy przesłać mu mają obywatelstwo honorowe. Już uchwały odnośne powzięto w stu prawie gminach, kiedy rząd postanowił unicestwić je z tytułu, iż Strossmajer nie jest obywatelem państwa austryackiego. Zresztą prasa austryacka przedstawia go nietylko jako gorącego panslawistę, lecz jako zdecydowanego stronnika Rosyi.

W Wiedniu obradowały aż trzy wiece nad interesami ekonomicznemi państwa, ze szczególnem uwzględnieniem klasy rolniczej i przemysłowej. Tak zwany „Ogólny austryacki wiec przemysłowców,“ zwołany przez Luegera, Verganiego i Schneidera, miał w gruncie na celu agitacyę antisemicką, niemiecko-narodową i klerykalną; powitały go telegramy ks. Lichtensteina, posła Stöckera i innych pruskich antisemitów, lecz cesarz nie przyjął deputacyi, mającej złożyć mu hołd w imieniu uczestników. Snać dla niedostatecznej znajomości charakteru tego zebrania prawie wszystkie korporacye galicyjskie wysłały swych delegatów, a między innymi i rękodzielników żydowskich, którzy w dość komicznem znaleźli się położeniu. Wprawdzie poseł lwowskiej Izby handlowej i przemysłowej, Niemczynowski, poznawszy sytuacyę, zaznaczył, że polscy rękodzielnicy biorą udział w wiecu ufni, że na nim roztrząsane będą jedynie sprawy stanu przemysłowego, a nie spory wyznań i narodowości, lecz tuż po nim Strohwasser podniósł kwestyę rasową. Dla uspokojenia zestraszonych uczestników, Lueger zaczął ich przekonywać, iż nie jest takim antisemitą, za jakiego uchodzi, mianowicie, iż nie dąży do wymordowania żydów.

Równomiernie odbyła się we Wiedniu konferencya włościańska, na którą zaproszono wszystkich posłów do Sejmów i do Rady państwa z kuryi małych posiadłości. Przedmiotem obrad było utworzenie powszechnego związku włościańskiego i ułożenie wspólnego programu. Dzieje usiłowań, zmierzających do wytworzenia stronnictwa włościańskiego, przedstawił czech Stasny. Swego czasu Lienbacher usiłował utworzyć klub rolniczy, któryby połączył przedstawicieli wielkiej własności z reprezentantami drobnej. Lecz wskutek systemu wydzierżawiania drobnych działek, posiadacze wielkich obszarów są zupełnie obcy produkcyjnemu gospodarstwu wiejskiemu. „Ci panowie — twierdził referent — nie mieszkają wśród nas, lecz starają się grosz zapracowany ciężko przez dzierżawców, strwonić w mieście. Stali się dla nas obcymi zarówno pod względem społecznym jako też skutkiem swoich feudalnych i wstecznych zapędów oraz sprzeciwiania się naszemu równouprawnieniu.“ Stan włościański ma zadanie zorganizować się samoistnie, a organizacya ta objąć ma całe państwo. Rozprawiano następnie nad sformułowaniem programu, któryby usunął przeszkody wynikające z różnorodności przekonań politycznych i kultury. Postanowiono wykluczyć dążności nieprzyjazne dla innych warstw. Z głównych zasad uchwalonego programu wysnujemy punkty następujące: uwolnienie od podatków zagród włościańskich, których obszar stanowi minimum utrzymania; powszechne państwowe ubezpieczenie od szkód naturalnych; polityczne równouprawnienie przez zaprowadzenie bezpośrednich wyborów z kuryi gmin wiejskich; zniesienie cła na przedmioty potrzebne do zaspokojenia potrzeb życia codziennego; utworzenie rad kultury krajowej we wszystkich krajach koronnych; usunięcie systemu reprezentacyi interesów i rozdział mandatów poselskich według liczby ludności.

Wystawa rolniczo-leśna dała sposobność do zwołania kongresu dla rolnictwa i leśnictwa. Rozbierano wprawdzie kwestye techniczne, odnoszące się do uprawy roli, głównie jednak zajmowano się sprawami handlowo-politycznemi. Wiadomo, że w ostatniem dziesięcioleciu rolnictwo europejskie ucierpiało znacznie wskutek konkurencyi amerykańskiej i indyjskiej. Ceny zboża spadły niżej poziomu, zajmowanego w ciągu całego stulecia dziewiętnastego. W skutek skarg producentów zboża wielkie państwa europejskie zdecydowały się do ponownego wprowadzenia ceł zbożowych; lecz środek ten, zastosowany ze szkodą wszystkich konsumentów, nie zadowolił nawet gospodarzów, gdyż cła, zwrócone właściwie przeciw Ameryce i Anglii, przerwały zarazem wygodne stosunki handlowe państw średnio-europejskich. Na kongresie rolniczo-leśnym powstał tedy projekt utworzenia europejskiej ligi celnej, którąby cłami ochronnemi zabarykadowała się wobec naporu konkurencyi zamorskiej, w własnem gronie zaś nie stawiała przeszkód wymianie towarów. Mali zaledwie przedstawiciele Austryi i Niemiec zgodzili się na pewien *modus vivendi* handlowo-polityczny, przedstawiciel Francyi dowodził, że ona wobec Ameryki i Anglii sama obronić się potrafi, i że dla niej dopuszczenie przemysłu niemieckiego i austryackiego do współzawodnictwa z krajowym byłoby niepożądanem. Zdaje się więc, że szumny projekt europejskiej ligi celnej skończy się na układzie handlowym między Niemcami i Au-

---

— Tak, spadek po ciotce, drobnostkę wynoszącą sto tysięcy koron. Drogie krzesła zajmowały wczoraj sługi generałowej!

— Nieszczęsne te bilety! Przyniosły mi same tylko przykrości. Oto je masz wszystkie. Nigdy już widzieć ich nie chcę, a razem z nimi weź i twój pierścionek zaręczynowy! I on mi wielkiej nie dał pociechy.

— Dziękuję również — odrzekłem.

Panna rzuciła się na łono matki.

— Broń mnie przed tym nędznikiem! — zawołała i na suknię matki wylała gorące uczucia swoje... zmieszane z rozpuszczonem bielidłem.

— Opuść nas pan! — wyjęknęła matka.

— Z największą chęcią — odrzekłem i oddaliłem się.

Stałem tedy na ulicy z moimi sześciu biletami gratisowymi. Tymczasem wynająłem pokój w hotelu i odesłałem bilety redaktorowi.

Po załatwieniu tego doznałem oddawna mi nieznanego spokoju.

Naprzód straciłem narzeczoną. Boże kochany, to przecież nie było tak strasznem. Prawdę powiedziawszy, sprzykrzyła mi się już od dosyć dawna. Strata spadku była gorszą, a wreszcie pozbawiono mnie posady w redakcyi. Niezdatny więc jestem na dziennikarza— odtąd cały poświęcę się literaturze.

Jutro jadę na wieś, aby módz pracować bez zakłócenia.

Noszę się z myślą wielkiego dramatu sensacyjnego o pięciu aktach.

Bohaterem będzie młodzieniec pełen nadziei, z dobrej rodziny, który popada w najstraszniejsze i najnieznośniejsze położenie i w scenie ostatniej umiera wśród warunków najbardziej opłakanych. Powodem wszystkich klęsk jego i nieszczęść będzie nie pijaństwo i rozrzutność, jak w niemoralnych książkach Zoli, ani wydekoltowane suknie dam, jak we francuskich sztukach salonowych, ani nawet morfina, w chwili obecnej najpopularniejsza z manij nowoczesnych — nie, powodem będą po prostu bilety gratisowe.

Gdyby ktoś utrzymywał, że opis powyższy jest nieprawdziwy lub przesadzony, odesłałbym go tylko do szczęśliwych posiadaczy małych owych, czworokątnych tabliczek. Niechaj z ręką na sercu powiedzą, czy bilety gratisowe nie były dla nich ciągłem udręczeniem. A każdy przyzna, że mam racyę.

Lars Dilling.

stryą, jeśli i tu system ochronny, coraz popularniejszy, nie zwycięży.

S.

O KULPARKOWIE

SŁÓW PARĘ.

Lwów, 20 września.

Coraz częściej czytujemy w pismach codziennych o okrucieństwach, jakich dopuszczają się dozorcy w przytułkach dla istot najnieszczęśliwszych na tym padole nędzy, dla obłąkanych. Przypominają się nam czasy, kiedy to szaleństwo uważane było raczej za zbrodnię, niż chorobę, kiedy tortury, pręgierze, łańcuchy i kręcące się stołki były środkami leczniczymi, a cele ciemniejsze od grobów. Dziś, kiedy złota zasada „no restrain" stała się pierwszem przykazaniem każdego psychiatry, kiedy obłąkanym dano możność pracy i rozrywki, kiedy we wszystkich kierunkach opieki nad nimi spostrzega się ciągły postęp, a najpośledniejszy dozorca pojmuje, że ma do czynienia z chorym, który nic nie robi „na złość" i za nic nie jest odpowiedzialnym — wychodzą u nas na jaw sprawy, budzące wstręt i oburzenie. Najgorszej pod tym względem sławy używa zakład kulparkowski we Lwowie, o którym przerażające krążą wieści, niestety—w znacznej części prawdziwe. Niedawno jeszcze złożyła o nim *urzędowa* komisya następujące sprawozdanie sejmowi. „Zlustrowawszy zakład kulparkowski we wszystkich szczegółach, komisya nie może zataić nader przykrego wrażenia, jakie stamtąd wyniosła. Przedstawił on się nam nie tak, jak zakład leczniczy dla nieszczęśliwych obłąkanych, ale raczej jako zakład detencyjny z ponurą fizyognomią więzienia lub domu poprawy. Daleko mu też do tego, aby godnie odpowiadać swemu wysokiemu przeznaczeniu i wymaganiom psychiatryi. Sprawdziliśmy bowiem, że aplikowano tam kary w iście monstrualnej proporcyi do przewinień, lub nawet wprost *barbarzyńskie i występne*. Dosyć przytoczyć, że nieraz za proste słowo, uznane przez dyrektora za nieodpowiednie, skazywano chorych na zamknięcie w seperatce, dla furyatów przeznaczonej, gdzie nago, bez pożywienia po godzin kilka pozostawać byli zmuszeni. A jakże zakwalifikować należy karanie chorych znacznemi dawkami emetyku? Ostatni wreszcie, a może największy zarzut, jaki tu zrobić musimy, jest ten, że dyrektor pozwalał sobie samowolnie zatrzymywać chorych, których prymaryusze i inni lekarze uznali za wyleczonych zupełnie, że się dopuszczał zatrzymywania ich w zakładzie po kilka miesięcy i rok nawet, a gdy ci nieszczęśliwi protestowali, oddawano ich na oddział szałowych, czyli furyatów, gdzie pozostając przez czas dłuższy wśród strasznego otoczenia, narażeni byli na ponowną utratę zmysłów."

Dziś możnaby powtórzyć sprawozdanie to dosłownie.

Uśmiercenie obłąkanego hr. Dzieduszyckiego, młodego, wiele obiecującego historyka, przez połamanie mu żeber, ciągłe śledztwa karne, wytaczane zakładowi przez prokuratoryę, wyrobiły Kulparkowi najgorszą opinię w kraju i za granicą. Barbarzyńskie obchodzenie się z porucznikiem Ign. Zakrzewskim, który skutkiem tego stał się bohaterem dnia, nie jest przeto, jak chcą niektórzy, faktem odosobnionym, który spadł niespodzianie w prąd opinii publicznej, lecz smutnym objawem organicznej wadliwości zakładu w Kulparkowie. Ciekawe bo u nas bywa postępowanie z waryatami. Chłopi z wsi np., chcąc się pozbyć obłąkanego, którego utrzymywać muszą, przyprowadzają go do Lwowa i w środku miasta puszczają, sami uciekając do domu. Po pewnym przeciągu czasu biedaka przytrzymuje policya i odsyła do aresztów miejskich, skąd prowadzą go do Kulparkowa; tu konstatują, że obłąkanie jest nieuleczalne, waryata nie przyjmują i odsyłają znowu do aresztów miejskich. Stąd znowu radziby odegnać go do właściwej gminy, ale gdy waryat nie wie, ani jak się nazywa, ani skąd jest, więc go trzymać muszą. Wprawdzie jest we Lwowie dom dla nieuleczalnych, gdzieby można takiego chorego umieścić, ale koszta utrzymania w zakładzie dla nieuleczalnych wynoszą 10 cent. dziennie, a utrzymanie w aresztach miejskich tylko 5 cent. dziennie, więc dla oszczędności obłąkany siedzi w kozie! Dla pozbycia się tych darmozjadów używany bywa czasem taki sposób: „Pachołek miejski brał aresztowanego waryata w dzień targowy i szedł z nim na spacer za rogatkę. Tam waryat zaczął przyglądać się pilnie chłopom, którzy przy szynkach popasają konie i bardzo często zdarzało się, że poznał chłopa ze swej wsi; wówczas poznany chłop dawał wyjaśnienia o waryacie, o wsi, o gminie, z której pochodzi, a na drugi dzień magistrat wydalał ciupasem obłąkanego aresztanta na łono rodzinnej gminy..."

Czy to są zdrowe stosunki, czy nie w naszej mocy jest radykalna poprawa takiego opłakanego położenia, które nietylko obraża boleśnie uczucia ludzkości, ale przynosi szkodę ekonomiczną, czy na to wszystko niema i nie będzie rady, chociaż już ją znaleziono wszędzie?

Wydział krajowy przez zreformowanie całego zakładu w Kulparkowie powinien zadość uczynić słusznym wymaganiom opinii publicznej, która zaczyna już uważać szpital ten dla umysłowo chorych za jakiś zakład napędzenia waryatom rozumu do głowy przez inne części ciała... Uwagi te nasuwa nieszczęśliwa sprawa Zakrzewskiego, z powodu której toczy się zażarta polemika w naszych pismach. Według jednego z nich, rzecz się tak miała. Były porucznik huzarów, Ign. Zakrzewski, trzymany dotychczas w zakładzie dla obłąkanych, urodził się w r. 1848. Oddany do gimnazyum, okazywał niezwykłe zdolności. W r. 1863 zdał egzamina prawnicze z odznaczeniem. Wtedy zapadł pierwszy raz na zdrowiu, a lekarze zdecydowali, że jest chorym na umyśle. Oddany do zakładu pijarów, miał przykre zajście z prymaryuszem, poczem rodzina go odebrała. Wówczas wstąpił do wojska. Po ukończeniu szkoły kadeckiej dzięki nadzwyczajnym zdolnościom uzyskał stopień porucznika, lecz potem na własne żądanie otrzymał dymisyę. Dostawszy skromną emeryturę 300 zlr. i nie chcąc być dla nikogo ciężarem, starał się o miejsce. Podawał się 24 razy o różne posady, ale nie mając protekcyi, trafiał zawsze na kontrkandydatów z lepszą kwalifikacyą (?!); ostatni, 25 raz podał się o posadę pisarza gminnego „na żart," ale i tu znalazł godniejszego rywala.

W ostatnich latach opanowany został manią pisania listów treści społeczno-politycznej do osób wysoko położonych, które poodznaczał J. N. R. P. Wydział krajowy jest w posiadaniu 110 jego pism. Pisywał on także listy do członków rodziny cesarskiej i to zwróciło dopiero na niego uwagę władz wojskowych, tem bardziej, że mimo dymisyi nosi mundur. Na podstawie więc orzeczenia lekarskiego oddano go do zakładu w Kulparkowie.

Pomijając tę manię, był zresztą porucznik zawsze spokojnym i przytomnym, a nawet rozumnym. Dopiero gdy władza wojskowa oddała go do szpitala, objawiał rozdrażnienie, furyi jednak w nim nie zauważono. Do czynnej zniewagi nie był zdolnym, chyba w ostatecznym wypadku i to jedynie w najwyższem podrażnieniu.

Dostaliśmy do przejrzenia pamiętnik jego, spisany w zakładzie Kulparkowskim, który sprawia dziwne wrażenie spokojem, powagą i trafnością obserwacyi, o czem przekonać się można z przytoczonych poniżej ustępów, rzucających dużo trafnych uwag o samym zakładzie. „Pod względem fachowo-leczniczym uderzającym jest — powiada on — brak wszelkiego dodatniego wpływu celem dźwigania chorych z ich niemocy umysłowej lub duchowej. Cała kuracya w zakładzie ogranicza się do zadawania proszków na sen przez siostry miłosierdzia, różnych płynnych lekarstw, wstrzykiwań i zawijań przymusowych w mokre prześcieradła *). Krom tych czysto fizycznych środków, których wartość ze względu na wykolejony umysł lub niemoc ducha jest więcej niż problematyczna, nie są znane i nie praktykują się w tutejszym zakładzie żadna środki moralne, pomimo że właśnie one są jedynie prawdziwe i wszechpotężne przy chorobach umysłowych i duchowych. Przeciwnie pod względem moralnym dzieje się w tutejszym zakładzie wszystko, co umysłowo lub duchowo chorych tylko tem bardziej gnębić może, a coby niejednego zupełnie zdrowego do szaleństwa doprowadzić mogło. 1) Straszna, piekielna nuda i brak wszelkiego zajęcia, pomimo że w całym tutejszym zakładzie ani jednego prawie takiego chorego niema, dla któregoby nie można stworzyć przy dobrej woli jakiegoś zajęcia i pracy, któraby go zainteresowała i powoli umysł wykolejony na pewne zdrowe tory wprowadzała. 2) Drugim, jaknajszkodliwszym wpływem moralnym, uniemożliwiającym wszelkie podźwignięcie się choremu, jest nieludzkie, brutalne obchodzenie się dozorców z chorymi, jak z bydłem. Prócz środków gwałtownych, jak szturchania, trącania, wykręcania bolesnego rąk itd., nie umieją dozorcy żadnych innych wpływów wywierać na umysłowo chorych. Wina w tej mierze nie leży jednak po stronie dozorców, lecz po stronie kierujących medyków i dyrekcyi, którzy o umiejętność obchodzenia z chorymi wcale się nie troszczą. Prócz oficyalnych wizyt, gdzie panowie medycy *en grand seignieurs* po oddziałach się przechadzają, podczas całego mego sześciomiesięcznego pobytu w tutejszym zakładzie nie widziałem ani razu, aby jakiś medyk robił gruntowniejsze studya nad chorymi, lub żeby dozorców co do obchodzenia się z chorymi pouczył lub kontrolował. Wobec takich stosunków nie dziw, jeżeli ludzie niższego stopnia inteligencyi w brutalnej sile i gwałcie jedyny sposób wpływania upatrują i z całą bezwzględnością przy każdej, chociażby najlżejszej sposobności go używają. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że duch karności, jaki w wojsku istnieje, byłby jednym z dodatnich czynników do dźwigania chorych. Duch karności jednak, który może być wywołany czysto moralnymi środkami, a bydlęcy postrach na podstawie wyłącznie siły brutalnej fizycznej, to są dwie rzeczy różne, jak niebo i piekło" itp.

I skarga Zakrzewskiego do Wydziału krajowego, opisująca, jak się z nim obchodzono, napisana jasno i dokładnie, świadczy, że w głowie tego „waryata" panuje daleko więcej porządku, niż w zakładzie. Podług tego opisu prosił on przez cztery miesiące lekarzy, ażeby go zbadali ze stanowiska psychiatrycznego, a gdy to nie nastąpiło, oświadczył im, że uważa ich za „posiepaków" i wobec tego nie będzie się więcej do nich odzywał. Na to dyrektor zawołał dozorców, kazał go zwlec z łóżka, na którem jako chwilowo chory leżał i półnagiego poprowadzić przez korytarze na oddział „szałowy," gdzie zamknięto go w t. z. seperatce. Ponieważ porucznik wierny swemu postanowieniu nie odzywał się wcale, trzymano go tam przez 4 dni. Kazano potem zedrzeć z niego mundur i położyć go do łóżka. Zakrzewski jednak oświadczył dozorcom, że jest zdrów i w łóżku leżeć nie będzie, chyba go przywiążą; wówczas zawleczono go znowu na oddział szałowy. „Tam kazał mnie dyrektor — pisze Zakrzewski — rozciągnąć na ziemi jakby do

*) Krytyka zbyt ogólnikowa: *Red.*

chłosty, wetknął ostre narzędzie w ciało i wstrzyknął jakiś płyn. Ból moralny, jaki z powodu tego szatańskiego sponiewierania godności mojej pod pozorem leczenia czułem, opisać się nie da, a jako ilustracya tego niech posłuży fakt, że gdy w kilka dni potem dozorca Dinta obcinał mi włosy na głowie, to mi zameldował, że one od spodu posiwiały..." Gdy stając w obronie swej „sponiewieranej godności," wymierzył policzek dyrektorowi w obecności lekarza i sióstr miłosierdzia, ten kazał go w najwyższej wściekłości porwać dozorcom i lżył ostatniemi słowy, zamknął się z nim i z dozorcami na oddziale padaczkowym, a zdarlszy koszulę, kłuł go i wstrzykiwał, krzycząc w gniewie: „Tak to robi posiepaka!" Następnie położono go w łóżku, zawinięto w mokre prześcieradła, związano tak silnie, że tylko z największą trudnością mógł oddychać, ręce skrępowano do tego stopnia, że przyszły na kość kłębową i cierpnąć poczęły. Podobnie skrępowano i nogi przez kolana. Po chwili przyniósł dyrektor plaster wielkości talerza i położył go na kark i plecy. „Od tego plastra doznałem uczucia rozżarzonych węgli." Po kwadransie wyciągnął plaster z pod pleców i położył na ustach Zakrzewskiemu, pytając ironicznie: „jak smakuje?" Rany, jakie wskutek tego chory dostał na ciele, smarowano potem oliwą...

Używaniem środków, przeznaczonych co najwyżej dla rozwścieklonych furyatów, doprowadzono spokojnego maniaka do stanu najwyższego rozdrażnienia.

Urzędowy „komunikat" wydziału krajowego, ogłoszony w tej sprawie, nie osiągnął wcale zamierzonego celu, tj. uspokojenia opinii publicznej pod względem wieści o dziejących się w Kulparkowie nadużyciach, ale przeciwnie zaniepokoił ją bardziej jeszcze, aniżeli były to w stanie uczynić alarmujące doniesienia tutejszych pism, przedewszystkiem wygłoszeniem zasady, że do obłąkanych można stosować „zabiegi lecznicze celem utrzymania dyscypliny w zakładzie," a potem usprawiedliwieniem tych barbarzyńskich „zabiegów" na osobie Zakrzewskiego. Nie chodzi już obecnie o poszczególny fakt, gdyż w każdym, nawet wzorowo prowadzonym zakładzie, może się zdarzyć nadużycie; ale idzie obecnie o cały system leczenia, stosowany w Kulparkowie. Wydział krajowy, jako naczelna władza nadzorcza, usprawiedliwiając karanie chorych względami dyscypliny, przeraził opinię publiczną; przecież nawet ustawy karne wyłączają odpowiedzialność chorych na umyśle. „Szałowych" oddaje się na „seperatkę" — tak sądziliśmy dotychczas — nie za karę, ale dla uczynienia ich na czas szału, i to tylko na ten czas, nieszkodliwymi. Nasze instytucye kierują się wprost przeciwną zasadą. Nadto oburza i to, że najwyższa nadzorcza komisya krajowa w ciągu jednego popołudnia mogła sprawę zbadać, załatwić, przeprowadzić śledztwo i wydać wyrok. Dlatego zachowując nieufność do tego wyroku, wyczekujemy z niecierpliwością wyników śledztwa sądu karnego, a po zbliżającym się sejmie spodziewamy się podjęcia reorganizacyi całego zakładu w Kulparkowie, dla zapobieżenia na przyszłość podobnym, chronicznie powtarzającym się wypadkom *). *Beta.*

*) O ile sprawę tę powikłaną najsprzeczniejszemi doniesieniami, zdala rozstrzygać można, zdaje się, że porucznik Zakrzewski, jako obłąkany, nie jest kompetentnym sędzią środków kuracyjnych, ale i szpital w Kulparkowie stoi na bardzo nizkim poziomie tego rodzaju zakładów. *Red.*

BADANIA NAUKOWE.

POWSTANIE ŚWIATA
I CZAS GEOLOGICZNY.

Wiadomo, że dawniejsze teorye kosmogoniczne jako pierwotną daną przyjmowały mgławicę o niezmiernie wysokiej temperaturze i z tej mgławicy za pomocą różnych przemian wyprowadzały systemy światów. W nowszych czasach postarano się sięgnąć jeszcze dalej wstecz w nieprzeniknioną głębię wieczności, wyświetlić jeszcze dawniejszą, pierwotniejszą fazę rozwoju wszechświata; postawiono sobie mianowicie pytanie: w jaki sposób materya doszła do tego subtelnego stanu gazowego o niezmiernie wysokiej temperaturze? Jednym z pierwszych, który zajął się tem pytaniem, był znany reformator teoryi Adhhemara, Croll. Już przed 20 laty wygłosił on w tym celu swą „teoryę uderzenia" i od tego czasu rozwijał ją i bronił w wielu swych pismach treści geograficznej, a obecnie poświęcił jej osobne dzieło *), w którem potrafił zgromadzić świadectwa na jej korzyść argumenty z najrozmaitszych dziedzin wiedzy ludzkiej.

Jako pierwotny stan materyi, jako punkt wyjścia rozwoju świata uważa Croll ciemne masy, które przebiegały niebieskie przestwory z wszelkiemi możliwemi, właściwemi im szybkościami; rzecz prosta bowiem, że mamy zupełnie jednakie prawo przypuszczać pierwotną daną materyę, bądź jako będącą w spoczynku, bądź w ruchu. Szybkości tych pierwotnych ciemnych zimnych mas dostarczają Crollowi energii, która buduje systemy światów i znowu je niszczy. Gdy dwie z takich mas, przebiegających przestwór wszechświata we wszelkich możliwych kierunkach, posiadają przypadkowo kierunki przecinające się wzajemnie, to uderzą o siebie z nadzwyczajną siłą; ich siła żywa zamieni się na ciepło i cały system stanie się płonącą kulą gazową objętości daleko większej od obu mas pierwotnych. Tym sposobem mgławica pierwotna jest gotowa, powstawanie światów może się rozpocząć. Wiliam Thomson w odczycie o źródle, ilości i trwałości ciepła słonecznego wypowiedział podobne poglądy o pochodzeniu kuli gazowej, z której utworzyło się nasze słońce i planety. Jednakże w przeciwieństwie do Crolla przyjmuje on pierwotne ciemne masy nie w ruchu, lecz w spoczynku, a za przyczynę, wywołującą ich spadnięcie na siebie i wytworzenie kuli gazowej, uważa jedynie siłę ciążenia. Podczas więc gdy w teoryi Crolla zasadniczym momentem w powstaniu ciepła jest pierwotny *własny ruch* mas kosmicznych, to u Thomsona momentem takim jest *ciężenie*. Croll stawia swą „teoryę uderzenia" w jaskrawem przeciwieństwie do Thomsonowskiej „teoryi ciążenia"; głównym jego usiłowaniem jest wykazać, że ciążenie nie może być jedynem źródłem obserwowanej energii światów. W pierwszej części usiłuje on wykazać, że jego teorya uderzenia jest zgodna ze wszystkimi faktami astronomii i astrofizyki, a nawet niekiedy jedynie ona tylko jest w stanie je objaśnić.

Główny dowód prawdziwości swych poglądów znajduje Croll w poszukiwaniach nad wiekiem słońca. Według jego przekonania dzisiejsza fizyka dowiodła niewątpliwie, że jeżeli ciążenie jest jedyną przyczyną ciepła słonecznego, to życie organiczne na naszym globie nie posiada przeszłości dłuższej na 20 milionów lat. Jeżeli więc geologia na podstawie niezbitych faktów wymaga dłuższego czasu dla trwania twardej skorupy ziemskiej, to tym sposobem dostarcza dowodu, że ciążenie nie może być jedyną przyczyną ciepła słonecznego, a zatem, że teorya grawitacyjna Thomsona jest błędna i że nie pozostaje chyba nic innego jak przyjąć teoryę Crolla.

Druga część dzieła Crolla zawiera więc z tego punktu widzenia poszukiwanie nad długością czasu geologicznego. Metoda której Croll przytem używa, jest dość znana: z pomiaru mas osadowych, odłożonych przez rzeki na dnie morza w pobliżu ujścia, można średnio oznaczyć wielkość spłókiwania lądu, a stąd obrachować, jakiego czasu było potrzeba dla osadzenia warstw osadowych, które obecnie tworzą góry na ziemi. Te obliczenia wypadają naturalnie różnie, stosownie do tego, jakie liczby przyjmujemy na średnią miarę spłókiwania oraz grubości osadów tworzących góry. Powtóre wątpliwą jest rzeczą, czy wielkość spłókiwania, jak otrymujemy z dzisiejszych pomiarów, może służyć zarówno dla czasów dawniejszych, jakkolwiek Croll to przypuszcza.

Dokładniejszą staje się ta metoda, gdy Croll oblicza czas potrzebny na spłókanie istniejących niegdyś, ale obecnie już zniszczonych części gór. Środek rozpoznania tych zniszczeń i przybliżonego obliczenia ich wielkości dają nam uskoki (zapadnięcia warstw).

Podczas gdy po jednej stronie pewnej linii warstwy pozostały na miejscu, po drugiej zapadły się one w głąb na setki, a nawet tysiące stóp. Ale mimo to nie spotykamy w tych miejscach przepaści na tyle stóp głębokiej; wszystko jest wyrównane: część, która pozostała na pierwotnym poziomie, została spłókana. Croll zestawia cyfry wielkich uskoków i oblicza na ich podstawie czas. Jeżeli przyjmiemy wraz z Crollem, że od czasu gdy osadził się stary czerwony piaskowiec (Old red sandstone), 3 mile angielskie warstw osadowych zostało spłókanych, a cyfra to niezbyt wysoka, to na odległość tej chwili rozwoju ziemi od chwili obecnej otrzymamy 45,000,000 lat. Opierając się na tem, Croll przyjmuje na trwanie czasu geologicznego 90,000,000 lat, jako minimum; cyfra ta przenosi znacznie przytoczoną wyżej cyfrę, obrachowaną przez fizyków.

W końcu tego rozdziału przytacza jeszcze Croll uwagi natury biologicznej, dowodzące, o ile niedostatecznem jest dla procesów biologicznych przypuszczenie dla wieku 12—20 milionów lat. Stąd wynika, że hipoteza grawitacyjna nie jest w stanie odpowiedzieć wymaganiom geologicznym i biologicznym; teorya zaś Crolla odpowiada im w zupełności, albowiem im dłuższy jest czas wymagany dla rozwoju ziemi, tym większy tylko ruch własny przypisać należy ciemnym masom materyi pierwotnej.

W trzeciej części dzieła Croll stara się wreszcie dowieść, że jego przypuszczalny stan pierwotny, jego ruchome ciemne masy kosmiczne stanowią jedyne naturalne, jedyne umysł ludzki zadawalające przypuszczenie.

W. N.

*) Croll. *Stellar Evolution and its Relations to geological Time.* 1889. (według referatu w *Petermann's Mitteilungen* 1890 VIII).

MÓZG A MORALNOŚĆ.

Równolegle z postępami psychologii fizyologicznej rozwija się etyka oparta na biologii. Najświeższa publikacya słynnego psychiatry wiedeńskiego, prof. Teodora Meynerta *), stanowi ważny przyczynek do tych badań i prześciga wartością naukową obszerne systemy etyczne, pojawiające się corocznie w Niemczech.

Wiadomo, że objawy moralności napotykamy nietylko w społeczeństwie ludzkiem, lecz niemniej u słoni, pszczół i mrówek. Mózg tych zwierząt nie przypomina bynajmniej budową ludzkiego; zdaje się więc, że inteligencya zwierząt nie zależy od planu jego budowy, lecz od stopnia rozwoju tej lub owej formy. Przy porównywaniu zjawisk życia u zwierząt i ludzi posługiwać się można dwiema metodami. Bardziej naukową jest panzoologiczna, upatrująca w czło-

*) *Gehirn und Gesittung*, Braumüller, 1890.

wieku jeno rozwinięte zwierzę; lecz niepodobna niemal znaleźć granicy, gdzie w szeregu rozwojowym zwierząt rozpoczyna się świadomość. Druga, t. zw. panantropologiczna uważa ruchy zwierząt za wyniki podobnych procesów wewnętrznych, jakie przebywa człowiek. Meynert trzyma się w badaniach swych tej drugiej metody, a w rozprawie uzasadnia szeregiem przykładów, że najdrobniejsze nawet organizmy zwierzęce posiadają władzę poznawania, zdolność wyboru, zmysł miejscowy i towarzyski.

Jakże wygląda mózg u owych zwierząt, u których widzimy ślady moralności? Badania Gegenbauera, Leidiga, Dujardina i Forela nastręczają pod tym względem wskazówki wcale pewne. Znaleziono u nich pewne organa, które odpowiadają mózgowi kręgowców, a Dujardin odkrył nawet pewne ciałka, które przypominają zwoje mózgu ludzkiego. Forel, idąc dalej drogą, przez Dujardina wskazaną, przekonał się, że owe ciałka, będące niewątpliwie organami inteligencyi, najbardziej są rozwinięte u mrówek najinteligentniejszych, to jest u robotnic, słabiej u samic skrzydlatych, najniepokaźniejszemi zaś są u samców skrzydlatych. Oto związek pomiędzy mózgiem a moralnością. Zwierzęta o najwyższej inteligencyi są zarazem te, które pracą, pomaganiem sobie wzajemnem i współdziałaniem z towarzyszami starają się o utrzymanie własnego życia i gatunku. Już w państwie mrówek widzimy owe dwie formy istnienia, które tak jaskrawo w sprzeczności swej występują w społeczeństwie ludzkiem: pasorzytów, ktorzy nie przyczyniając się zgoła do utrzymania życia własnego, wyzyskują pracę drugich, i pracowników, którzy utrzymują się własnemi siłami, pomagając sobie wzajemnie. Pierwszą formę istnienia — parazytyzm — uważa Meynert jako pierwiastek zły w przyrodzie, drugi— mutualizm — jako dobry. Dwa te pierwiastki występują w normalnym mózgu ludzkim, a od rozwoju ich zależy moralność. Człowiek nowonarodzony zrazu czuje tylko podrażnienie głodu, pragnienia i najprostsze, bezpośrednie wrażenia zmysłowe; żyje niejako wyłącznie owymi ośrodkami, które mieszczą się wewnątrz kory mózgowej. Pierwotne te wrażenia wytwarzają w nim prostą świadomość własnej istoty, czyli t. zw. jaźń pierwotną (das primäre Ich), dbającą o własne tylko dobro z samolubstwem rażącem, któremu nie można poniekąd odmówić cechy pasorzytnictwa. Zczasem dopiero powstaje jaźń rozwinięta (das secundäre Ich) dzięki funkcyonowaniu kory mózgowej, właściwego organu inteligencyi. Jaźń rozwinięta obejmuje zrazu osoby najbliższe; drogą t. zw. wyobrażeń równoległych dochodzi dziecko do przekonania, że w osobach tych zachodzą podobne procesy, jak w własnem jego wnętrzu i z dobrem własnem łączyć zaczyna coraz bardziej ich dobro. Granice rozszerzenia się jaźni rozwiniętej wzrastają z rozwojem mózgu. Na nizkim stopniu jaźń ta obejmuje rodzinę, szczep, na wyższej — państwo, wreszcie ludzkość całą. Rozwinięta nadaje życiu formę mutualizmu, wzajemności, braterstwa i usuwa parazytyzm powiązany z jaźnią pierwotną. Wiadomo z fizyologii, że do funkcyj kory mózgowej należy hamowanie impulsów, pochodzących z ośrodków wewnętrznych, a zatem popędów jaźni pierwotnej, samolubnej. I tu więc występuje związek pomiędzy mózgiem a moralnością. Najwyższemu stopniowi wolności moralnej po myśli Kanta, najwyższemu stopniowi rozwoju jaźni rozszerzonej według Meynerta odpowiadać będzie całkowite zlanie się jaźni rozszerzonej z jaźnią pierwotną, tak, iżby popędy samolubne, właściwe parazytyzmowi, wcale nie powstawały.

Meynert dowodzi słuszności swej teoryi o związku mózgu z moralnością przykładami z potologii mózgu. Przedptawia on niektóre formy chorób umysłowych, połączonych z zanikiem moralności i stwierdza, iż w tej samej mierze zanikają pewne części mózgu. Z tego punktu widzenia analizuje idyotyzm paralityczny, obłęd wielkości i obłęd moralny. Objawy tej choroby najbardziej są pouczające. Pacyent wydaje się być umysłowo zupełnie normalnym; cierpienie polega na ciasnocie jaźni jego rozszerzonej. Idąc wyłącznie niemal za popędami cielesnymi, kradnie i wyłudza w sposób bezwzględny wszystko, czego mu potrzeba. Czuje się sam całością, dla której inni pracować winni. Kora mózgowa zanika, a równocześnie chory powraca coraz bardziej do pierwotnej, samolubnej jaźni. I na polu etyki biologicznej więc organizm chory poucza nas o naturze zdrowego.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Emil Hennequin. *La critique scientifique*, Paryż, 1889. *Écrivains frans*, Paryż, 1889. *Quelques écrivains français*, Paryż, 1890.

Założycielem szkoły „krytyki naukowej“ we Francyi jest, jak wiadomo, H. Taine. Ponieważ każde dzieło sztuki stanowi wytwór a zarazem symbol pewnych warunków psychologicznych i społecznych, więc zadanie nowej nauki sprowadza się do wykrycia związku pomiędzy dziełem i tymi warunkami. Zgadzając się z tem określeniem, Hennequin pod wielu wszakże względami odstępuje od wywodów mistrza. Każdy utwór jest przejawem estetycznym pewnego umysłu, który znajduje się w związku z grupą umysłów pokrewnych; dlatego też krytyka naukowa powinna, zdaniem Hennequina, obejmować trzy części: analizę estetyczną, analizę psychologiczną i analizę socyologiczną. „Utwór literacki — powiada on — jest zbiorem zdań, mających na celu wzbudzić w czytelniku pewne odrębne wzruszenie, wzruszenie estetyczne.“ Zadanie więc analizy estetycznej jest oczywiste: bada ona, jakie uczucie chciał autor wzbudzić w swych czytelnikach i o ile dopiął celu danymi środkami stylu, formy, pomysłu. Toż samo tyczy się każdego innego utworu sztuki. Następuje analiza psychologiczna. „Określiwszy — mówi autor — dzieło artysty we wszystkich szczegółach formy i treści, krytyk powinien oznaczyć w terminach naukowych, tj. ścisłych organizacyę duchową tego człowieka.“ Nauka powinna w dziedzinie tej kontentować się jedynie wskazówkami, jakich samo dzieło dostarcza. Daleko słuszniejszy jest naturalnie pogląd Taine'a, który dla analizy psychologicznej wymaga od krytyki znajomości, oprócz dzieł, całego życia danego autora. Ale wyższość jego daleko jaśniej jeszcze występuje w dziedzinie analizy socyologicznej. Jeżeli Hennequin zupełnie słusznie osłabia to znaczenie, jakie Taine przypisuje rasowości w jej wpływie na literaturę i sztukę *), natomiast pod innym względem mylnie uważać jego krytykę wywodów autora *Historyi lit. angielskiej* za zupełnie chybioną. Taine mianowicie stara się ustanowić ścisły związek pomiędzy dziełem sztuki a przyrodzonem i społecznem otoczeniem, w którem twórca jego się obraca. Odrzucając w zupełności prawie wpływ otoczenia przyrodzonego, Hennequin ogranicza wpływ społecznego tak dalece, iż nadaje mu sens wprost odwrotny temu, jaki ono w pojęciu Taine'a posiada. „Literatura wyraża w sobie pewien naród nie dlatego, aby ten ją miał wytworzyć, ale dlatego, że on ją przyjmuje i uwielbia.“ I przytem — proszę zauważyć — jeszcze nie cały naród, gdyż on, jako całość, nie jest dość rozwinięty, lecz oddzielne jego warstwy. A i te rozbijają się na mniejsze grupy, lgnące do oddzielnych autorów. „Jeżeli więc niema—według H.— żadnego stałego związku pomiędzy autorem i jego rasą lub otoczeniem, to istnieje natomiast trwała nić pomiędzy dziełami sztuki a pewnemi grupami ludzi, których one przyciągają, dzięki pokrewieństwom. W ten sposób analiza socyologiczna sprowadza się do sądu wielbicieli danego artysty. Nie mówię już o tem, iż jest ona prawie niemożliwa i w najlepszym razie musi się zadawalać chyba statystyką poczytności każdego autora; ale zasadniczo rzecz biorąc, poglądy Taine'a są nieskończenie słuszniejsze.

Weźmy przykład.

O ile Hennequin dobrze rozumie pisarzy europejskich, jak Heinego, Dickensa i in., o tyle niezrozumiałymi pozostają dlań rusy. Nic dziwnego: stosunki społeczne Europy zachodniej są mu dokładnie znane, o ruskich zaś ma on słabe tylko pojęcie. Wyjęci z właściwego im środowiska pisarz i jego bohaterowie nie tłomaczą mu się należycie. Oto np., jak krytyk francuski ocenia Bazarowa, bohatera znanej powieści Turgeniewa, „Ojcowie i dzieci“: „Silna ta organizacya nosi w sobie zarodki chorobliwe. Bazarow zbyt wiele rozmyśla, oddaje się analizie psychologicznej, prowadzącej do niebezpiecznych idej, mogących zabić wszelką żywotność i zdolność do czynu... Leży on całemi godzinami na sianie, dumając niebezpiecznie: „A ja, ja sobie powiadam— oto leżę koło tego młyna. Miejsce, które zajmuję, jest tak nieskończenie drobne w porównaniu z resztą przestrzeni, gdzie mnie niema; chwila czasu, którą żyć będę, jest taką błahostką wobec wieczności, gdym nie istniał i gdy istnieć nie będę; a tymczasem w tym atomie, w tym punkcie matematycznym krew krąży, mózg pracuje i chciałby także czegoś... Co za nonsens, co za nędza! Rodzice moi pracują i nie myślą o swej nicości, ona im nie jest wstrętna, nie cuchnie; tymczasem ja — ja jestem w stanie czuć tylko nienawiść.“ „Gdy człowiek — wnioskuje Hennequin — oddaje się tego rodzaju myślom, zabójczym dla wszelkiej działalności, nie jest on już odpowiednim do tego, aby stać się lekarzem wiejskim, aby spokojnie pracować w jakimś zakątku i stworzyć ładną i użyteczną egzystencyę. Skłania się on do losu Hamleta lub Werthera...“ Do takiej bredni może dojść nawet pierwszorzędny krytyk, jeżeli nie zna społecznego otoczenia, w którem dane dzieło powstało. Biedny francuzik nie może sobie wyobrazić natury „całej, kierowanej silną wolą i zrównoważonej,“ któraby zarazem nie sprzedawała pieprzu za bufetem kupieckim, albo też nie pisała recept za dobrą płacę. Jeżeli w człowieku zjawiają się ideje, nieodpowiadające sklepikarzowi lub lekarzowi wiejskiemu, wówczas staje się on odrazu „un grand irresolu,“ Hamletem lub Wertherem. Biedny francuzik z mieszczaństwa nie jest w stanie zrozumieć, że można być niezadowolonym a zarazem „całym i silnym.“ Nic dziwnego: w tej sferze, gdzie Hen. żyje, każdy człowiek ma swój określony „métier,“ a zajmować się polityką jest zupełnie tož samo, co zajmować się handlem. Ambicya niezadowolonego *buržua* będzie równie zadowolona sutą pensyą jakiegoś dyrektora banku, co i teką ministeryalną. Jedyną pobudką czynu jest tu interes. I wówczas tylko buržua — krytyk, wychowany w tych pojęciach, da wam patent na człowieka „entier, volontaire, bien équilibré. Ale sprobójcie tylko wybiegnąć z tego kojca na szersze przestwory, niechaj waszymi czynami kieruje ambicya, oparta na poświęceniu, wówczas utuczony mieszczuch będzie tylko mrugał oczyma, napróżno szukając w mózgu jakiegoś pokrewnego pojęcia, aby je zestawić z tem

*) W kwestyi tej odsyłamy czytelników do pracy naszej o „Czynnikach społecznych w literaturze,“ art. IV.

zjawiskiem i zrozumieć. Nic dziwnego, iż musi on bąknąć: „Un grand irresolu.“ Takim dekadentem ma być Bazarow! W prawdzie Bazarow nie byłby napewno wzorowym „medicin campagnard,“ ale to bynajmniej jego żywotności nie zmniejsza.

Dowodzi to tylko, iż nie jest on ślimakiem, dla którego świat ograniczony ścianami skorupy, lecz orłem, szukającym olbrzymich przestworów. Turgeniew nazywa gdzieś Bazarowa wodzem; istotnie jest to wódz od stóp do głowy, gladyator, którego natura ciągnie do walki, niestety wszakże, wódz, który „zbyt wcześnie na świat się zjawił.“ To skazuje go chwilowo na bezczynność w szerokiem, społecznem znaczeniu, ale — *ex lungue leonem!* — ona nie wyrazi się w bezsilnem stękaniu, lecz w nienawiści. W naszych czasach Bazarow byłby już zupełnie na swem miejscu, jego abstrakcyjne przeczenie przyjęłoby bardziej konkretne formy i ogólna jego nienawiść wylewałaby się nie w energicznych tyradach, lecz w energicznych czynach. Słowem, aby zrozumieć Bazarowa, trzeba znać społeczne jego otoczenie. Hennequin sądzi, iż można się obejść bez tej znajomości, przeto doszedł w krytyce swej do takich absurdów. Przykład ten pokazuje nam w sposób dosadny, jak niedostateczna jest analiza socyologiczna Hennequina. Właściwie mówiąc odrzuca on ją zupełnie poniekąd. To nam objaśnia, czemu „krytyka naukowa“ otrzymuje odeń nazwę „estopsychologii.“ Tymczasem powinna ona być „esto-psycho-socyologią.“ Tylko wówczas wyczerpuje ona cały zakres odnośnych zjawisk i daje nam naukowe wyjaśnienie każdego dzieła sztuki.

Opierając się na powyższych zasadach Hennequin przedstawił w „Quelques écrivains français“ i w „Ecrivains frances“ rozbiór kilkunastu autorów (Flaubert, Zola, E. Goncourt, V. Hugo, Huysmans, Heine, Dickens; Poe, Dostojewskij, Turgeniew, Tolstoj i in.) rozbiór, który pod względem estetycznym i psychologicznym pozostawia mało do życzenia. Krytyk stara się zbadać, o ile każdy z powyższych pisarzów umie wywoływać w czytelnikach żądane wzruszenia odpowiednimi środkami formy i pomysłu, następnie zaś stara się odbudować duszę artysty na zasadzie jego dzieł. Rezultaty pod wielu względami są wspaniałe; szczególniej udatne są rozbiory Poe'go, Dickensa i Flauberta. Zato analizy socyologicznej wszędzie prawie brak: w najlepszym razie ogranicza się ona ogólnikami o poczytności danych autorów.

Leon Winiarski.

ŚRÓD MUZ.

IV.

Stopniowy zanik stęchlizny. — Krajobrazy. — Słodycz w naturze. — Zdolność widzenia. — Świeszewski. — Studya Gierymskiego. — *Les beaux restes* po Chełmońskim. — Impresyonizm i impotencya umysłowa. — Nowe siły. — Pejzaże *genium minorum.*

Kanikuła, przerywając na czas dłuższy pogadanki moje z łaskawym czytelnikiem, nagromadziła w salonach Towarzystwa Zachęty sporo nowych płócien. Znaleźć tam można parę nowonarodzonych nazwisk; ten i ów z wwniosłych i patrzących pogardliwie na swojską sztukę artystów raczył nadesłać parę kolorowych oznak swej łaskawej pamięci, zaś w ogóle kilkomiesięczny, błahy na pozór okres zdołał uwydatnić parę rysów świadczących, że malarstwo zaczyna być i u nas *sobą* i powoli wycofywa się z terytoryów obcych i porzuca śmieszną chętkę zbawienia świata — pędzlem.

Historyozofii, apostolstwa religijnego, rozrzewniających melodramatów, chwała Bogu, coraz mniej. Ludzie zaczynają się przekonywać, że można nie tylko śpiewać, ale i malować falsetem, gdy kto zapragnie wziąć zbyt wysoki ton. Szerokie idee, głębokie symboliki, patetyczno-konturnowe dramata cudnie nadają się do rymów poezyi i frazesów muzycznych, ale na płótnie wyglądają bardzo często, jak robione duchy, i wymagają niekłamanego geniuszu.

Że się zanosi na stanowczy w malarstwie zwrot do jego gatunkowej energii — możnaby wywnioskować z samej przewagi obrazów z tematami skromnymi, prostymi, gdzie chodzi nie tyle o pretensyonalną grozę ducha, ile o prawdziwość i żywość barw, kształtów i światła. Pejzaże — królują, typów moc, portretów sporo.

Szkoda tylko, że nie zawsze umiemy patrzeć na naturę. Taki np. „Czarny staw“ tatrzański p. Świeszewskiego! Widok sam przez się cudowny i we wszystkich swych znamiennych szczegółach doskonale pochwycony. I ciemno-pawi kolor samego jeziora i żółknące, kędzierzawe futra smereków, okrywających przylegle góry trafiają do przekonania i budzą nawał żywych wspomnień w każdym, kto się wydałał w doliny Zakopiańskie, w stronę Morskiego Oka, ale nie wskrzeszają w duszy widza jednego dominującego wrażenia: dzikości, chropawej, szorstkiej przyrody owych turni i wirchów. Na płótnie tem brzegi Czarnego Stawu zaklęte zostały w szczęśliwą jakąś słodycz i łagodność, i wypolerowane, jak porcelana. Ten rodzaj traktowania natury jest bardzo odmiennym, bo ją owiewa tchnieniem włoskiej sielanki lub elegii z nad Sorrento lub Como i pociąga delikatną i miękką warstwą rozmarzenia, ale cóż, kiedy w tem niema prawdy, a więc i niema siły właściwej Tatrom?

Pan Świeszewski umie malować i dowiódł tego niejednokrotnie, drobne runo kosodrzewiny i sieci linij na spękanych skałach osiągnięte są kosztem niewielkim, śmiałemi dosyć i szerokiemi pociągnięciami pędzla, ale jego oko ma stanowczo coś kobiecego w sobie. Choroba to zresztą powszechna dosyć i zadawniona, pochodzi z czasów wylizywania natury pędzelkiem i patrzenia na nią jak gdyby przez szkła, zacierające wszelką jędrność i grubą bryłowatość kształtów oraz dosadność i wyrazistość barw.

Umieć malować to niedosyć, trzeba umieć *widzieć* wszystkie cechy i charakter przedmiotu. Ulegamy zwykle złudzeniu, że nic łatwiejszego jak zachwycać się naturą i rozumieć ją, nie prawdaż panno Wando? Ajednak właściwie nic łatwiejszego jak prześlepić tę lub ową ważną cechę. Prawdę mówiąc, dopiero sztuka uczy nas patrzeć na naturę. Nie pojmie ten sztuki, kto, nie podpatruje dokładnie rzeczywistości, ale i naodwrót, sztuka odsłania nam dopiero tajniki, uczy obierać punkt widzenia, szukać efektów i kontrastów, oprawiać krajobrazy żywe w urojone ramy, *ogarniać* przestrzeń jednem wejrzeniem itd. Ona też za pośrednictwem celniejszych swych mistrzów zwraca coraz natrętniej naszą uwagę że drzewo, ziemia, kamienie i woda nie są kolorowym eterem, lecz mniej lub więcej stały się ciekłą materyą i zawsze mają dla oka pewien stopień twardości, że się mniej lub więcej ostro wrzynają w powietrze, a nie rozcierają jak barwna maść na jednej powierzchni.

Malowanie porcelanowe wogóle podoba się jednostkom, co to zwijają dłoń w trąbkę, ażeby osiągnąć lepszą perspektywę i plastykę. Tacy ludzie nie posiadają dla natury oka, lecz tylko ckliwy sentyment, lubią jedynie odległe zarysy i linie horyzontu, a nie mają poczucia barw.

Ktoś — nie pamiętam w tej chwili jego nazwiska — wywiesił w tymże salonie malę płócienko, przedstawiające sprzęt żyta, które wypadło tak delikatnie jak len, bah, jak pela, a sami żniwiarze zrobieni są z chleba. Czy taki jest charakter żytnich łanów i żeńców? Ależ to lukrecya z anyżem, że już nie powiem... troisty proszek.

Dwa małe obrazki, sąsiadujące z przepysznymi utworami Chełmońskiego, wywyają mimowolny okrzyk z ust, przed chwilą skrzywionych niesmakiem. Są to studya Aleksandra Gierymskiego. To malował... mężczyzna! chce się zawołać, na widok potężnej siły kolorytu, który, zwłaszcza na punkcie zieleni jest tak nasycony i soczysty, jak tylko bywa prawdziwa łąka lub prawdziwa knieja, ścieląca się grubym pokrowcem na stokach tyrolskich Alp. W pewnych chwilach trawa i liście, pogłębiają, zda się, swój kolor i świeżość, a wtedy u natur wrażliwych wywołują dziwne łaknienie zjednoczenia się z nimi, żywiołowego zlania się. Tak bywa na wiosnę a osobliwie przed południem, nim prostopadłe promienie słońca zaczynają zieleń bielić i czynić ją blakłą, mętną, szarawą i matową. Właśnie w jednej z takich wdzięcznych faz znajduje się ściana lesistych gór; stercząca za zamkiem zbudowanym na niewysokiem wzgórzu, nad kobiercem pastwisk. Inny, mniej piękny moment, mianowicie ten sam Rathenberg, ale w świetle południa, przedstawia drugie płótno. Tu góra podobną jest już do mgły, snopy światła nie zostawiły z niej nic prócz niewyraźnych konturów. Dla malarza musi to być zadanie nader trudne, bo samo już obserwowanie tego rodzaju gry świateł spotyka naturalną przeszkoę w oślepieniu oka; malować szczyt góry w samo południe potrafi nie każdy.

Nie będzie paradoksem, gdy powiem, że cała jędrność i czerstwość atmosfery górskiej wieje z tych niedużych utworów. A obok niej i cała malowniczość. Gierymski ma wstręt do owego gatunku pejzażów górskich, w których podaje się łańcuch zbliżonych do siebie kształtem kopców ze stereotypowym strumykiem lub potokiem. Wie on, że wszystkie motywy piękna horyzontalnego są dawno wyzyskane i trudno zdobyć się w tym kierunku na oryginalność. Przekłada więc piękno *w zwyż*, t. j. nie teren wzięty z lewej strony ku prawej albo naodwrót, lecz z dołu ku górze. W podobny sposób parafrazując brzeg Wisły z znakomitych swych *Trąbek*, daje nam część Solca nie równolegle z biegiem rzeki ale poprzecznie do niego idącą. Jest to efekt tarasów i kondygnacyi daleko polotniejszy i bogatszy częstokroć w tony. Oba wspomniane szkice prócz zalet owej finezyi artystycznej, unikającej szablonu, cechują nadto pięknem poetyckiem, dla wszystkich pochwytnem, pięknem samych widoków. Trudno rzeczywiście o harmonijniejsze i szczęśliwsze ugrupowanie się wielkiego burgu z połyskującymi dachami baszt, ze spiczastą wieżycą kościoła, tak charakterystyczną dla całego Tyrolu — na tle olbrzymiego muru pnących się ku niebiosom borów...

Cóż powiedzieć o pięknych resztkach wystawy dzieł Chełmońskiego? Błękitny staw, porosły tu i owdzie wodnemi liliami, a nad niemi szklarczyki, których skrzydełka prawie że drżą i brzęczą, oto jeden z cyklu prostych przedziwnie tematów, a głębokich poczuciem nieskończoności. Czuje się dziwną potrzebę zajrzenia w zadumane falki tej wody i doznaje się złudzenia, że jest ona bezdenna. To właśnie sztuka Chełmońskiego.

Gierymski odtwarza pejzaże bardzo żywotne, zaludnione, obfitujące w treść człowieczą, tamten zaś kocha naturę bez ludzi ale z jej bezgranicznością. Jego płótna budzą przedsmak bezmiaru, połączonego z cichą zadumą i kontemplacyą. Jego natura sama w siebie lubi zapatrywać się, niema, skupiona i nawet rozmarzona. Tu bezmierne łany pszenicy, z po za których sterczą z wielomilowej odległości tylko czubki polnych grusz albo wieżyc miasteczka, widać lazur nieba zapatrzony w lazur jeziora — i nic więcej; gdzieindziej znów moczary o zachodzie słońca... Wzrok nasz zawsze podąża: chce albo za krańce widnokręgu

albo na dno wód. Jest to w całem znaczeniu tego wyrazu zaklinanie przyrody w chwili ciszy i samotności i przenoszenie tego momentu żywcem na blcitramy. Nie mówię tu, rzecz prosta, o innych odmianach krajobrazów tego malarza, gdzie chodzi wogóle o uchwycenie nastroju przyrody, choćby nie bardzo pociągającego. Jest on mistrzem niezrównanym w charakteryzowaniu pewnym i symptomatami: wichru jesiennego, mrozu, słoty, snu i wszystkich w ogóle motywów, które łatwo czuć, wytłomaczyć muzyką, opowiedzieć poezyą, ale niesłychanie trudno ująć w formę plastyczną.

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zmiana w tłomaczeniu artykułu o dyfamacyi. — Wygodne skrzydło, z którego nie korzystają ludzie dbali o swój honor. — Zajście w Chorzenicach. — Z jakiego gruntu wyrosło. — Komentarz do trenów większej własności ziemskiej. — Emigracya żydów i potrzeba ujęcia jej w program.— Samobójstwa młodych ludzi.— Smutne skutki szlachetnej przyczyny. — Dziecko jako zepsuty bożek.

W postępowaniu sądowem — jak donoszą pisma — zmieniono jeden punkt ważny i bardzo blizko obchodzący prasę: mianowicie w procesach o t. z. dyfamacyę (zniesławienie) urzędników wolno będzie oskarżonym powoływać się nietylko na dowody piśmienne posiadane, lecz także na znajdujące się w aktach. Objaśnimy tę różnicę przykładem. Jakiś korespondent zarzuca w gazecie pisarzowi gminnemu łapownictwo, kiedy ten był gdzieindziej burmistrzem. Jeżeli pisarz wytoczył proces o dyfamacyę, to redaktor (lub korespondent), według praktyki dotychczasowej, musiał przedstawić dowód piśmienny, posiadany i popierający zniesławienie; obecnie zaś może on również wskazać akta urzędowe, które dowód taki zawierają, a z których dotąd korzystać mu było niewolno. Skutkiem tego niepoń, nawet karany publicznie, był zabezpieczony w tajemnicy swego przestępstwa. Artykuł kodeksu o dyfamacyi oddawna ulegał krytyce, a w komisyi, obradującej nad reformą ustaw karnych i po za nią spotkał się z głosami, które zalecały go usunąć. Istotnie stanowi on niezaszczytne i często bezkarnością występek osłaniające skrzydło, pod które nie chronią się zwykle ludzie o czystość swojego honoru dbali. Każdy bowiem, dotknięty niesłusznym zarzutem i pewny swej niewinności, skarży oszczercę o potwarz, to jest pozwala mu uzasadnić przed sądem swoje twierdzenia wszelkimi środkami, a więc również za pomocą zeznań świadków. Rzeczywiście wtedy dopiero prawda rozjaśnia się, a w razie krzywdy jedna strona wychodzi uniewinnioną, a druga ukarana bez tłomaczenia, że jej odcięto możność udowodnienia winy przeciwnika. Tymczasem pojęcie dyfamacyi niczego nie rozstrzyga, a określa znaczną karę. Skoro wszakże ten artykuł kodeksu istnieje, niechże jaknajdalej rozszerzy zakres, z którego obronie swój materyał czerpać wolno. Toż właśnie dokonano, dozwalając oskarżonym o dyfamacyę korzystać z akt urzędowych. Jak rzekłem, jest to ważna ulga, szczególnie dla prasy, która pomieszczając doniesienia z prowincyi, ciągle pozostaje pod grozą owego artykułu (który naturalnie służy nietylko urzędnikom, ale i osobom prywatnym). Jeśli zważymy, jak mało przewinień ludzkich pozostawia ślady pisane, to zrozumiemy, jak rzadko gazety mogą je ujawniać wobec takiego hamulca. Najgorsze zaś osobniki najskwapliwiej go wyzyskują.

Kto wie, czy nie będziemy mieli procesów o dyfamacyę, gdy bohaterowie walki orężnej w Chorzenicach rozstrzygną między sobą zatarg sądownie. Co kilka dni bowiem w korespondencyach do gazet odwraca się skandaliczny medal inną stroną. Raz wuj Wężyk i jego przyjaciel Jabłoński zaatakowani zostali przez siostrzeńca Korzybskiego, którego dobra pierwszy z nich jako wierzyciel objął w posiadanie i strzelał w obronie własnej; drugi raz znowu p. Korzybski występuje jako napastnik. Obie strony są na przemiany czyste i brudne. Nie stajemy po żadnej i pozostawiamy tę niemiłą pracę sądowi. Zauważymy tylko, że dość rzadki w sferze szlacheckiej fakt załatwiania sporu majątkowego dubeltówkami jest wyroślą gruntu, który ona od pewnego czasu z wielką dla siebie szkodą uprawia — dewastacyi. Ziemianie opuszczają swoje folwarki tak, jak dzikie wojska swój kraj — niszczą go, ażeby wrogowi pozostawić gołą pustkę. Czynią zaś to nietylko wobec lichwiarzów, ale nawet wobec współtowarzyszów swego stanu lub krewnych. Dawniej wierzyciel przypuszczał, że znajdzie szczerby w zajętem po dłużniku gospodarstwie; dziś jest pewnym, że zastanie niebo i ziemię. Więc chcąc zapobiedz zniszczeniu, wyjednywa sobie sekwestry, osacza nieprzyjaciela, roznamiętnia się, wpada w gniew, w szał i z rozjątrzonym również przeciwnikiem podejmuje walkę, w której siłę wyroków sądowych wzmacnia pięścią, rewolwerem lub dubeltówką. Widmo dewastacyi, rzeczywistej czy urojonej, które przesuwa się przez korespondencye, odegrało niewątpliwie w Chorzenicach głośną rolę. Przed 50 laty wuj ufałby siostrzeńcowi, że ten majątku nie spustoszy; dziś ta wiara znikła, nawet w stosunkach najbliższych, nawet w rodzinie. Ach, szanowni ziemianie, zamiast ubolewać nad wypadkiem, starajcie się, jeśli możecie, przywrócić ten poziom moralny, na którym nie strzelaliście do siebie z dubeltówek na odłużonych folwarkach.

P. Gustawowi Wiercieńskiemu, który chciał uratować rolnictwo za pomocą wiecu ziemiańskiego (o czem na tem miejscu mówiliśmy) odpowiedział p. L. Ch. w *Gazecie polskiej* bardzo rozumnie. Szkoła własność ziemska — powiada on — upada dlatego:

1) „że nieproporcyonalnie do środków posiadamy fortuny, których ani umiejętnie prowadzić, ani wyzyskać nie jesteśmy w stanie;

2) dlatego, że pomimo różnicy w dochodach wielu nie chce zachować różnicy w wydatkach, a prawie wszyscy, otocze pozornie uchodzić za bogatych, w otoczeniu, komforcie i sposobie życia nie ustępują w niczem tym, co, chociaż do tej samej warstwy społecznej należą, pod względem zamożności daleko wybiegają naprzód;

3) dlatego, że często majątek o glebie piaszczystej, w najgorszych warunkach naturalnych, posiada 600 do 800 rs. pożyczki Towarzystwa na włóce, gdy ona zaledwie tyle jest warta.“

Nie są to jeszcze wszystkie przyczyny, lecz te niewątpliwie współdziałają w rujnowaniu ziemiaństwa i stanowią tę część zła, którą ono samo usunąć może. Ale nie usunie, bo stuletnie drzewo sciąć łatwo w ciągu kwadransa, ale stuletni nałóg opiera się długo najsilniejszym ciosom. Jeszcze nawet nie nadeszła dla obywateli ziemskich pora świadomości, uznania swych przywar. Kto je wskazuje lub powtarza, jest „dyfamatorem,“ oskarżonym i potępionym na wszystkich sejmikach sąsiedzkich, we wszystkich dziennikarskich trybunałach szlachty. Dobrą obsługą publiczną jej interesów nazywa się u nas dotąd wywyższanie najrozmaitszych kozłów ofiarnych, dla złożenia na nich jej grzechów, obwinianie powietrza, ziemi, wody, wszystkich części świata, wszystkich innych rodzajów ludzkich, oprócz tego nietykalnego stanu, opatrzonego nr. 2 świętości. Dym kadzideł przyjemnie drażni powonienie, ale nie karmi, nie poi, życia nie przedłuża, więc duszą się w nim uczczeni ziemianie, a prasa konserwatywna grzebie ich z wszelkimi honorami i pisze im na nagrobkach szumne chwalby. Dzięki tej troskliwości szlachta ma w prasie wielu przyjaciół, a w życiu ekonomicznem najobszerniejszy cmentarz.

Jeżeli światlejsi przewodnicy „ludu wybranego“ doradzają mu dobrowolną emigracyę, to widocznie stała się ona potrzebą, wskazaną przez okoliczności. Rzeczywiście, żydów wyodrębnionych w społeczeństwie mową, obyczajami, dążeniami, wszystkiem, co wchodzi w skład znamion typu kulturalnego, mamy za dużo, za dużo dla reszty ludności i dla nich samych, bo nie posiadają ani środków do życia, ani możliwości godziwego zarobku. Kto chciał widzieć ciemnotę lub talenty szachrajskie, szedł między żydów; ale niech dziś idzie między nich ten, kto chce widzieć nędzę — brudne i cuchnące nory z zużytem powietrzem, którem na kilku łokciach kwadratowych oddycha kilkoro płuc, główki cebulowe służące za wyłączny pokarm ludziom pracującym fizycznie, koszyki z paroma garncami śliwek, na których zysk ma dostarczyć jadła całej rodzinie itd. Instynkt samozachowawczy jest najsilniejszym z popędów, a moralnym bywa dopóty, dopóki się nie znajdzie w warunkach, które mu każą albo umrzeć, albo ratować się przekroczeniem granic słuszności. Im więcej w społeczeństwie jest ludzi postawionych przed tym fatalnym wyborem, tym większa ilość jego szkód i występków. Nie ma dziś chyba u nas warstwy społecznej, w której by hasło: *hic Rhodus, hic salta* — brzmiało częściej, jak żydowska. Potrzeba więc, ażeby jej nadmiar masą ciemną, a nadewszystko z otoczeniem swem niespokrewnioną i niezłączoną przelał się ze swego dotychczasowego łożyska w inne, w których znajdzie dla siebie pomieszczenie. *Izraelita* warszawski mówi o Palestynie, dokąd podobno w ostatnich latach napłynęły obfite fale naszego żydowstwa. Powstały tam nowe kolonie, trudniące się uprawą roli i winnic podobno z wielkiem powodzeniem. Musiałbym znać dobrze ów basen palestyński, chcąc ku niemu zwracać upływ żywiołu semickiego. Ponieważ tej wiedzy nie posiadam, więc nie obierając dlań miejsca i powołując się na świadectwa cudze, zaznaczam jedynie konieczność prędkiego i troskliwego zajęcia się tą sprawą. Podobno ma ona już u nas swoje „kółko,“ podobno jeden z bogatszych żydów warszawskich odbył podróż do Palestyny i kupił tam „znaczny obszar ziemi na kolonię swej fundacyi,“ ale dotychczas nie widzimy jeszcze, ażeby rozumy pracowały energicznie nad rozwiązaniem tej kwestyi swoją radą, a kapitały swoją pomocą. Jedni w prasie wymyślają, drudzy milczą, a tymczasem nie zamykając ust obelżywych i potwarczych, należałoby otworzyć rozsądki i po wymianie zdań dobrą wolą natchnionych obmyślić program ruchu emigracyjnego. Byłoby to daleko ważniejszem i pożyteczniejszem, niż złośliwe a często nieprzyzwoite szczypanie się pism i ludzi z powodu reżyseryi teatralnej. Na samobójstwa zaś, któreby wygarniały proletaryat żydowski liczyć nie można, gdyż jego Hamleci tym środkiem nie rozwiązują zagadki.

Z powodu kilku wypadków odebrania sobie życia przez ludzi młodych, pisma zaczęły poszukiwać przyczyn tego objawu. Czy on jest rzeczywiście aż „przerażającym,“ możnaby orzec dopiero na podstawie porównawczego rachunku statystycznego w odniesieniu do lat przeszłych. W każdym razie jest niepożądanym. Otóż *Wiek*, rozbierając go, po szeregu pytań, odpowiada tak: „Dzieci zwłaszcza w sferach inteligentnych, lub mających do inteligencyi pretensyę, od najmłodszych lat otaczane bywają zbytkiem.

Rodzice ubierają je lepiej, niż mogą, dostarczają im wszelkich zabaw i rozrywek, nie przyzwyczajają od samego początku do skromnego bytu i pracy — a co najważniejsza, zaniedbują wykształcenie religijne... Chłopiec z dawnej generacyi, odziany w dreliszek lub grube sukno, żywiony barszczem i chlebem, oćwiczony od czasu do czasu rózgą za próżniactwo, inaczej, niż dzisiejszy papinek, wyglądał... Rozpieszczony dzieciak nowszych czasów, zbałamucony zabawami, egoista, bez ideałów i bez wiary, kocha tylko samego siebie, a od życia żąda jedynie przyjemności i uciech.“ Gdy mu ich zbraknie — w łeb sobie pali. Odrzuciwszy dreliszek, grube sukno, barszcz i inne czynniki, które *Wiek* uważa za kształcące i niezbędne, przyznać trzeba zasadniczej jego uwadze słuszność. Istotnie, obecną młodzież wychowujemy w zbytku i bez pamięci na to, że życie może w dalszym ciągu wychowywać nasze dzieci inaczej — w surowości i niedostatku. Szczepimy im ospę, ażeby nie ulegały zarazie, ale nie szczepimy zasad i nawyknień ochronnych przeciw późniejszym chorobom i nieszczęściom. Ten błąd pedagogiczny ma swoje szlachetne źródło. Nie tkwi on bowiem we wzmożonym materyalizmie i osłabionej wierze lub próżności, ale w spotęgowanej dbałości o dobro potomstwa. Przypomnijmy sobie dzieje umysłowości naszej w siódmym, ósmym i ostatnim dziesiątku lat obecnego wieku, jaki podczas tego okresu dokonał się przewrót w pojęciach wychowawczych, jak chciwie przejmowaliśmy humanizm teoryj zagranicznych, a wypłaszaliśmy ponure cienie Winnickich, dreliszki, barszcz, chłosty na ławkach i dywanach!.. Po całem społeczeństwie powiał duch nowy, pod wpływem którego rodzice zaczęli wprowadzać do wychowania inne zasady, zajmować się fizycznym i duchowym rozwojem dzieci od najpierwszych chwil ich życia, dogadzać ich potrzebom, stosować środki łagodne, unikać surowych. Ze swoich synów i córek, kształconych rózgą i tyranią, zrobili oni bożyszcza, którym składali w ofierze wszystkie swoje starania i zasoby. Jeżeli każdy Boga pojmuje inaczej, to nic dziwnego, że różnorodność mniemań objawiła się w systemie wychowania. Co jedni zrozumieli jako obowiązek umiejętnego rozwijania sił w młodych organizmach, to drudzy pojęli jako potrzebę dogadzania wszelkim kaprysom i zachceniom. Zaczęła więc wyrastać masa młodych ludzi miękkich rozpieszczeniem, osłabionych zbytkiem, niezdolnych do wytrzymania późniejszych ostrych warunków życia, ludzi, którzy wymagali, ażeby cały świat był dla nich najczulszym i najpobłażliwszym ojcem, a on był tylko okrutnym ojczymem. Wychowani w puchach, muszą nieraz w koszuli lub nago znosić mrozy i szarugi. Więc giną lub odbierają sobie życie, z początku rozkoszne, a w końcu okropne. Takich jednostek ze zmniejszoną odpornością moralną będziemy mieli coraz więcej, dopóki rodzice nie zrozumią, że żołnierzom idącym na wojnę nie daje się safianowych trzewików, tiulowej odzieży i karmelków w tornistrach. Nie jakaś książka, nie artykuł dziennikarski, ale doświadczenia całego społeczeństwa sprowadzą zmianę. Żywiąc tę nadzieję, bądźmy cierpliwi, bo jest to choroba powszechna. Zaledwie przed paru tygodniami jedna z konserwatywnych gazet niemieckich uderzyła na trwogę z powodu takich samych objawów, na jakie my się skarżymy, w sferze, w której nie może być mowy o upadku wiary. Nietylko u nas, ale prawie wszędzie dziecko stało się bożkiem i uległo losowi bożków, a odzyska swoją lepszą dolę, gdy je znowu sprowadzimy na poziom człowieka.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Odwrotna strona medalu. — Niefortunny wynik walki o rynek. — Zwężenie tarczy bezkarności. — Dwudziestopięciolecie bezcenzuralności prasy ruskiej. — Najnowsze plony działalności banku włościańskiego w Cesarstwie.

Nowa zwyżka taryfy celnej nie wszędzie jednakowo została przyjętą. Jedni podnieśli ją do apoteozy „wielkiej karty wolności,“ rozumiejąc pod nią wyjarzmienie się z pod przewagi zachodniej Europy finansów i przemysłu Rosyi. Drudzy, pokrzywdzeni już dostatecznie przez Amerykę, Australię i Indye rolnicy, otrzymując przy wymianie zboża na pieniądze zagraniczne skutkiem pomyślniejszego kursu mniej rubli papierowych — rozdarli na sobie z żalu szaty. Ci ostatni znaleźli swego obrońcę w *Ruskich Wiedomostiach*. Zwracają one uwagę na to, że straty, wynikające z polepszonego kursu rubla rolnicy wynagradzali sobie do pewnego stopnia możnością zaopatrywania się w niezbędne towary (narzędzia i maszyny rolnicze, żelazo) za tańsze ceny. Zwyżka taryfy celnej kładzie tej uldze kres. Sami tracąc na kursie, płacić jednak muszą drożej za towary. Dawniej, dostając z kruszcowego równoważnika za zboże od zagranicy więcej „papierków,“ snadniej mogli przepłacać towary zdrożałe; dziś i mniej uzyskują papierków i więcej muszą ich wydawać na towary forsownie utrzymywane na dawnym poziomie protekcyjnym—drogą nowego podatku spożywczego... „W ten sposób — posiadają *Rus. Wied.* — wątpliwą korzyść nielicznej garstki fabrykantów i kupców *niewątpliwie* spłacać będzie olbrzymia masa ruskiej ludności rolniczej, i bez tego mogącej wyżyć z trudnością.“ Jak wiadomo, najnowsza zwyżka protekcyi 20% i 40%-ej wywołana została potrzebą dostrojenia ceł do poziomu kursu rublowego. Potrzeba ta była tak *naglącą*, że, pomimo dobiegającej już do końca rewizyi ustawy taryfowej, prawo o rzeczonem podwyższeniu cła przeprowadzone zostało niezwykłą drogą prawodawczą, bo bez wstępnego przejrzenia w Radzie państwa lub w komitecie ministrów. Cóż znaglało do tego — wzmożony dowóz zagranicy? Na świadka powołują *Rus. Wiedomosti* statystykę. Okazuje się z niej, że przywóz, zamiast być większym od przeszłorocznego, w piewszych sześciu miesiącach b. r. spadł względnie o 21 milionów rubli, czyli o 10½% zeszłorocznego dowozu z tego samego okresu. To uszczuplenie rozpościera się na wszystkie towary, szczególnie zaś dotyczy *gotowych wyrobów*, których dostawa spadła o 15%. Tak np. żelaza, najbardziej osłanianego przez taryfę celną, dowieziono na rynki ruskie o 30% mniej w stosunku z 1889 r., wyrobów żelaznych i stalowych — o 20%, przetworów i materyałów chemicznych — o 10%, maszyn i przyrządów — 12%, wyrobów bawełnianych — o 25%, lnianych i konopnych — o 60% itd. Podobnież rzecz się ma i z dowozem węgla kamiennego do portów południowych. Według wiadomości, ogłoszonych w *Wiestniku Finansów* i doprowadzonych do 11 sierpnia, dowóz węgla spadł w trójnasób i zmałał do nieznacznych rozmiarów. W stosunku do ogromu produkcyi porzecza dońskiego 3,750,000 pudów dostarczonych przez zagranicę Odesie i 500,000 pudów w Sebastopolowi — są „kroplą w morzu.“

Opieka celna usiłuje stworzyć przyjaźniejsze warunki dla krajowego przemysłu, temu zaś dla dalszego wzrostu nie wystarczają rynki wewnętrzne — potrzebny jest dalszy Wschód. Rynki jednak zewnętrzne zdobywają się inną drogą, niż krajowe, bardziej przedsiębierczością indywidualną, niż poparciem państwa. „Nasz kupiec i rękodzielnik powiada *Dień*, powinien przejść wprzód poważną szkołę tresury handlowej, zanim pomyśli o podboju rynków zagranicznych. Lecz u siebie w domu przemysł nasz nie znajduje się w takich warunkach, któreby sprzyjały rozwojowi w jego przedstawicielach ducha przedsiębierczości i sztuki zdobywania rynków. Zdobywane one są dla nich opiekuńczą ręką władz, dla tego też naszemu kupiectwu smakuje dotychczas tylko orędownictwo. Kupiec Aszymon w ciągu piętnastu lat praktyki handlowej w Persyi doszedł do opłakanych wyników. Cała działalność kupca ruskiego przemysłu wyczerpuje się nieustanną walką z towarami angielskimi, walką, niedającą nadziei najsłabszego zwycięstwa. Towar angielski pobija ruski na całym obszarze perskim. Przyczyna niepowodzenia prosta: anglik — ćwik posiada niezwykłą zdolność przystosowywania techniki wytwórczo-wymiennej do potrzeb rynku, który zamierzył posiąść. Z kilku próbek perkalu ruskiego i angielskiego przywiezionych z Persyi okazuje się, iż angielski szerokości 20 werszków sprzedawany jest po 8—11 kop. arszyn, gdy ruski szerokości 16 werszków „tejże samej próbki i dobroci“ nie sprzedaje się taniej nad 15 kop. za arszyn. Cały towar ruski, przeznaczony dla rynków perskich, według słów Aszymowa, odznacza się przygnębiającą jednostajnością. „Anglia zasypuje persów nowaliami, a my dostarczamy im zawsze tego samego. Anglicy wytwarzają to, co przypada do smaku rynkom, my zaś chcemy te rynki nagiąć do naszych upodobań.“ Nie dziwimy się wcale tym żalom wytrwałego pioniera rodzimej produkcyi na dalekim Wschodzie, ani też gorliwej nagance prasy ruskiej do żwawszego wyścigu młodego kapitalizmu ze starym. Owszem, kto zapożycza takie arcydzieło gospodarki pieniężnej, jak *Clearing House'y* (izby likwidacyjne), tem bardziej powinienby od tych samych anglików, jeśli nie pożyczyć duszy kupieckiej, to przynajmniej wzorować swoję na niej. Ta bowiem instytucya w klasycznej ziemi kapitalizmu wyrosła dopiero po zawładnięciu rynków światowych, a zatem po całym szeregu boharerskich czynów kupieckich, które ją poprzedziły...

Wyszło sprawozdanie za rok 1886 z czynności Banku włościańskiego w Cesarstwie. Z cyfr tam podanych wyrasta wniosek, że zakres działania tej instytucyi z każdym rokiem staje się wyższy. Wpływa na to może wiele głębszych przyczyn, ale też przedewszystkiem przyjęta przez Bank zasada ostrożności. Procent udzielonych pożyczek wielkim spółkom zmalał zadziwiająco. Kiedy zważymy na to, że w spółki te wiążą się najniezamożniejsi mało, a nawet może i bezrolni włościanie, wyniknie stąd, że właśnie najbardziej potrzebująca poparcia w dążnościach ziemionabywczych kategorya ludności wiejskiej najmniejszy ma dostęp do ożywczego źródliska... Natomiast szczególnie uwzględniono zamożniejszych włościan, czego dowodem jest wzrost dopłat z własnych środków pożyczkobiorców: w r. 1888 wynosiły one 21% względnie do szacunkowej sumy nabywanego gruntu, w r. 1889—33,69%. Ogólna ilość udzielonych pożyczek przez Bank w roku sprawozdewczym zmniejszyła się o 6%, zaś ich pieniężna suma — aż o 16%. To zjawisko w sprawozdaniu przypisane jest pomyślnemu współzawodnictwu prywatnych banków ziemskich z włościańskim. Istotnie, z chwilą jak utraciły one pożyczkobiorców w szlachcie, która pozyskała od rządu własną instytucyę kredytową, operacye swoje skierowały w stronę włościaństwa. Operacye te podobno prywatne banki zdołały na nowym gruncie znacznie rozszerzyć. Doszły do tego poprostu korzystając z wad Banku włościańskiego — *tańszym kredytem*. Powodzenie ich zapewnione jest na tak długo, aż żądane przez prasę zniżenie procentów, dopłat itp. przez Bank włościański nie przestanie być kwestyą otwartą...

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

Łódź, 22 września.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 37 *Prawdy* spotkałem się z uwagami, czerpanemi z *Gazety radomskiej* pióra niejakiego „A. G.,“ a odnoszącemi się do stosunków wewnętrznych fabryki J. K. Poznańskiego w Łodzi.

Sprawa ta dostatecznie wyjaśnioną była w nr. 17 *Prawdy* za r. b. Lecz p. A. G. widocznie poważnych pism nie czytuje, nic więc dziwnego, że zjawia się z przebrzmiałemi sprawami, jak przysłowiowy Filip z Konopi. Wszystkie zarzuty, odnoszące się do tej fabryki, od początku aż do końca są kłamliwe. Zauważyć tu natomiast muszę, że tym robotnikom (około 600), którzy pracowali w spalonej części przędzalni, fabryka dopłaca do ich minimalnego zarobku. Pracę ich zużytkować można było tylko w stosunku 60% do normalnego czasu roboczego. Że zaś zarobek ten nie wystarczałby na zaspokojenie ich potrzeb, a zarząd fabryki nie chciał zmniejszać liczby robotników, ani stawiać ich w gorszych warunkach, postanowił dopłacić im 40% dla zrównania ich zarobków z resztą robotników, o czem można się przekonać w samym zarządzie fabryki.

Nie po raz pierwszy wypada nam notować niesumienność panów korespondentów, którzy nietylko nie trudzą się badać sprawy na miejscu, lecz nawet niebaczni są na to, co już inne pisma w tym względzie podały. A przecież nieraz chodzi tu o ludzi społeczeństwu bardzo zasłużonych.

Racz więc Sz. P itd.

S. K.

KRONIKA.

Szkoły. Władza naukowa wydała polecenie, aby przy wydawania urlopów na wyjazd uczniom lub studentom natychmiast zawiadamiano o tem gubernatorów (a w Warszawie oberpolicmajstra) tych miejscowości, dokąd wydano urlopy. Ma to być czynione w „celu rozciągania należytego nadzoru i opieki“ nad młodzieżą.

— Przekształcona szkoła rzemiosł w Warszawie pod dyrekcyą p. Kühna składa się z oddziału przygotowawczego (jedna klasa) i trzyklasowej szkoły nowego typu. Warsztaty: krawiecki, rymarski, szewcki, wyroby z drzewa i metalów.

— Zatwierdzono zapis Erazma Dylewskiego w sumie 74,000 rs. na stypendyum dla studentów uniwersytetu warszawskiego.

— Z dnia 1 stycznia otwartą będzie w Częstochowie praktyczna szkoła ogrodnictwa,

— W Muzeum na Koszykach odbył się egzamin z pszelnictwa, jedwabnictwa i ogrodnictwa.

— Powstał projekt założenia w Petersburgu wyższej szkoły farmaceutycznej dla kobiet z kursem dwuletnim (teoretycznym i praktycznym). Od słuchaczek nie będą wymagane świadectwa z trzyletniej praktyki w aptekach. Egzaminy ostateczne w Akademii medyczno-chirurgicznej lub uniwersytetach.

— Minister oświaty zgodził się, żeby w uniwersytecie krakowskim z wykładów rolnictwa korzystali kandydaci stanu nauczycielskiego i nauczyciele ludowi.

— Czwarte gimnazyum męzkie otwarto we Lwowie.

— Kursy akuszeryjne dla t. zw. „babek“ przy klinice położniczej w szpitalu Dzieciątka Jezus wkrótce się rozpoczną.

— Departament przemysłu i handlu zamierza w kilku większych miastach pootwierać szkoły rysunku technicznego.

— Według nowych przepisów o przyznaniu stypendyów orzekać mają postępy w naukach i dobre sprawowanie się studenta nie zaś egzaminy konkursowe. Korzystający ze stypendyum obowiązani są następnie odsłużyć $1^1/_2$ roku za każdy rok stypendyowy.

— Dyrekcya szkoły rolniczej w Dublanach odmówiła przyjęcia niektórym studentom z zagranicy bez podania powodów.

— Uczenica warszawskiej szkoły malarstwa dla kobiet, p. Szworynicka, otworzyła takąż szkołę w Kijowie.

Sprawy społeczne. Robione są starania o otwarcie w Warszawie czytelni dla dzieci.

— Wskutek przedstawienia p. oberpolicmajstra warszawskiego fundusz gratyfikacyjny dla strażaków odznaczających się odwagą i energią w sumie rs. 1,000, podniesiony będzie do 3,000. Jednocześnie w koszarach strażackich wprowadzono rozmaite udogodnienia dla szeregowców. Poruszono także sprawę uruchomienia kapitału, ofiarowanego w roku jubileuszowym straży przez obywateli warszawskich.

— Urzędowe otwarcie przytułku dla rekonwalescentów fundacyi małżonków Levy przy ul. Dzielnej nastąpi w połowie bieżącego miesiąca. Gmach urządzony jest na 60 pensyonarzy (36 mężczyzn, 24 kobiety) bez różnicy wyznań (30 chrześcian, 30 żydów). Rekonwalescenci przyjmowani do zakładu pozostować w nim będą do zupełnego powrotu sił, o czem orzekać ma lekarz i oprócz całkowitego utrzymania dostaną miejscową bieliznę.

— Inspekcya fabryczna opracowywa przepisy, mające obowiązywać warsztaty rzemieślnicze pod względem urządzeń pomocy sanitarnej. Każdy majster będzie obowiązany posiadać apteczkę, składającą się ze srodków powstrzymujących upływ krwi, lub przynoszących ulgę doraźną w razie poparzenia. Właściciele warsztatów mają zawrzeć umowę z felczerami najbliżej mieszkającymi dla udzielania natychmiastowej pomocy w razie wypadku.

— Na Szlązku panuje wielki brak robotników, kopalnie w Michałkowicach nie mogą dostać 200 ludzi.

— Germanizatorowie na Szlązku, nie mogąc ludu przyzwyczaić do śpiewania po niemiecku w kościołach, zupełnie odstręczają od śpiewu.

Przemysł i handel. Departament górniczy otrzymał zawiadomienie o odkryciu na Uralu dotychczas niespotykanych tam rud platynowych.

— Właściciele cukrowni w Królestwie Polskiem zamierzają wystąpić z podaniem do zarządzającego tutejszym kantorem Banku państwa o podniesienie obecnej normy zaliczenia na cukier, składany w magazynach bankowych, do wysokości $^2/_3$ wartości towaru. Dotychczasowa norma wynosi 50% wartości.

— Ministeryum finansów opracowało projekt, dotyczący zmian, w istniejących obecnie przepisach o otwieraniu przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. Dla różnego rodzaju przedsiębiorstw przygotowane zostały ustawy normalne, jako wzory przy organizowaniu spółek, towarzystw itd. Oddzielny komitet przy ministeryum czuwać będzie nad tem, żeby każda poszczególna ustawa nie odchylała się za daleko od normalnej. Nowe przepisy nie dotyczą przedsiębiorstw, zawiązywanych przez cudzoziemców, gdyż, jak wiadomo, ci muszą za każdym razem uzyskiwać osobne pozwolenie.

Sprawy kolejowe. Na najbliższym zjeździe kolejowym rozpatrywaną będzie sprawa obowiązkowego wprowadzenia oświetlenia elektrycznego na wszystkich kolejach w państwie.

— Przy przyjmowaniu do wysyłki owoców na kolejach tutejszych pobieraną będzie z góry całkowita opłata za przewóz.

— W zarządzie kolei Wiedeńskiej poruszono projekt powiększenia na linii liczby domków dla służby drogowej, mieszkającej obecnie prywatnie i pobierającej wynagrodzenie na mieszkanie.

— Kolej Nadwiślańska jeszcze w r. b. ma wprowadzić wydawanie zaliczek na zboże, wysyłane ze stacyi tej drogi; nadto zarząd zamierza urządzić specyalny kantor sprzedaży w Gdańsku.

— Zarząd kolei moskiewsko-brzeskiej rozesłał już zarządom zainteresowanych kolei projekt nowej umowy o bezpośredniej komunikacyi towarowej w związku warszawsko orłowsko-carycyńskim. Do związku tego należeć będą koleje: wiedeńska z odnogą aleksandrowską, terespolska, griazie-carycyńska, dąbrowska. kozłowsko - woronezko-rostowska, moskiewsko-brzeska, orłowska, witebska, orłowsko-griazka, poleskie, nadwiślańska i łódzka.

— Podczas tegorocznych rewizyj na kolajach żelaznych ma być zwrócona szczególna uwaga na trwałość podkładów, stan mostów, a szczególniej na części drewniane toru.

— Komisya geologiczna w Petersburgu zwróciła się do ministeryum komunikacyi z prośbą, aby na przyszłość do wszystkich studyów przy budowie nowych kolei powoływani byli geologowie.

— *Now. Wr.* pisze: „Z rozporządzenia ministra komunikacyi wysłano do Królestwa Polskiego i gub. nadbaltyckich specyalnych urzędników dla sprawdzenia, o ile oficyaliści tamtejszych kolei posiadają język ruski. Nieczyniący zadość pewnym w tej mierze wymaganiom będą natychmiast zastąpieni przez urzędników, znających język ruski.“

Parcelacya. W gub. kaliskiej, w okolicach Turku sprzedany ma być folwark Grąbków. Nabywcą jest stowarzyszenie włościan, z 39 członków złożone. Folwark obejmuje 306 morgów. Cena morgi wynosi 60 rs. Kupno będzie dokonane przy pomocy Banku włościańskiego, który udziela pożyczki do wysokości $^9/_{10}$ szacunku, z warunkiem umorzenia w ciągu 34 lat ratami rocznemi.

Wystawy. Jeden z mieszkańców Warszawy podniósł projekt urządzenia jednocześnie z wystawą drukarską wystawy dzienników i pism ilustrowanych.

— W Edymburgu otwarto wystawę historyi muzyki.

— W Moguncyi otwarto wystawę rolniczą.

— W końcu r. b. odbędzie się w Petersburgu wystawa etnograficzna i nowych odkryć we wszystkich gałęziach wiedzy.

Zjazdy. W r. p. odbędą się zjazdy rolnicze w różnych okolicach państwa;

— W Antwerpii odbędzie się 9 października kongres międzynarodowy opieki nad zaniedbanemi dziećmi i przestępcami małoletniemi.

— W Stanisławowie odbył się zjazd wszystkich galicyjskich kółek rolniczych.

— W Opawie odbył się zjazd lekarzy galicyjskich.

— W Liverpoolu odbyła się konferencya nad reformą prawa narodów.

Wiadomości administracyjne. Na całej przestrzeni zachodniej granicy lądowej ma być powiększona straż pograniczna. Największy dodatek liczebny przypada na gub. wołyńską, lubelską i radomską.

Wiadomości literackie. W Opolu na Szlązku żaden drukarz nie chciał się podjąć tłoczenia nowego pisma p. t. *Gazeta opolska*, chcąc przeszkodzić jej istnieniu, Druk odbywa się w Bytomiu.

— Na Helgolandzie powstaje pierwsze pismo.

Zmarli. Lorenz Stein, znany ekonomista, prof. uniwersytetu wiedeńskiego.

— Jakób Weber w Brodach, redaktor jedynego w Austryi pisma w żargonie żydowskim.

— Kaffsack, rzeźbiarz niemiecki.

— Alexandri, poeta rumuński.

— Aleksander Chatrian, w Paryżu, powieściopisarz francuski.

— Alfons Karr, znakomity humorysta i powieściopisarz.

Bibliografia. Józefowa Nusbaum i H. Silberstein. *Siły przyrody*, popularny wykład fizyki, według A. Guillemina, Warszawa, Olawski, zeszyty 12 do 20.

— W. Meyer, *Zadania i wyniki badań stereochemicznych*, tłom. B. Znatowicz, str. 58, Warszawa.

— M. Rodziewicz, *Szary proch*, powieść, str. 243, Warszawa, Gebethner i Wolff.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. Zapytaliśmy naszego korespondenta i autora artykułu, otrzymawszy odpowiedź, podamy tytuł.

Panu U. R. w Kijowie. Adresu p. Pokutyńskiego, wynalazcy wodomiaru, nie znamy.

L. N. Odpowiedzieć Panu nie możemy. Gdybyśmy mogli, bylibyśmy to uczynili we właściwem miejscu.

Pani Maryi Ch. w B. Sprawy tej poruszyć nie możemy, tłomaczenia zamieszczamy tylko wyjątkowo, a dla nich wystarcza nam współpracownictwo stałe.

Panu H. G. w Rydze. Dziękujemy za sprostowanie które wszakże jest słusznem tylko co do mylnego przez opuszczenie paru wyrazów przyznania Gregorowiczowi pseudonymu Anczyca (K. Góralczyka), jego współtowarzysza w pracy. Natomiast redagował on „Wolne żarty“ a o „Przyjacielu dzieci“ jest wzmianka w artykule.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Сентября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Święto[...]owski.**